

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

Nr 7.

Z „Zapisek myśliwego”

(NOWELLE)

I. Turgeniowa

w przekładzie i z przedmową

Klemensa Junosza



Cena 25 k

W prenumeracie 191

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Swiat 47.

1897.

N 298

139.

00829

Z „ZAPISEK MYŚLIWEGO”

(NOWELLE).

N. 298
J. Turgeniew

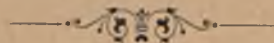
00829

Z „ZAPISEK MYŚLIWEGO“

(NOWELLE)

W PRZEKŁADZIE I Z PRZEDMOWĄ

KLEMENSA JUNOSZY.



WARSZAWA.

Drukarnia Artystyczna

Saturnina Sikorskiego.

47. Nowy-Świat, 47.

I. S. Turgeniew.

Znakomity pisarz rosyjski Iwan, syn Sergiusza, Turgeniew urodził się w mieście Orle, dnia 28 października 1818 roku. Turgeniewowie należą do bardzo starej szlachty rosyjskiej, a pochodzenie swoje wywodzą od jakiegoś Mirzy ze Złotej Hordy, który zaciągnął się do służby kniaziów moskiewskich. Ojciec Iwana, Sergiusz, oficer gwardyi, żył nad stan i był już blizki ruiny majątkowej, lecz ożenienie się z bogatą obywatelką Barbarą, z domu Łutowinow, dało mu znów ogromne mienie. Przyszły autor przyszedł na świat i wychowywał się w domu bogatym, wśród dostatków, licznej służby i guwernerów— a czytać i pisać po rosyjsku nauczył się od pewnego sługi dworskiego, który też zapoznał go z utworami Łomonosowa, Sumarokowa, Kantemira, a nawet z poematem Cheraskowa „Rossyada”. Rodzice Turgeniewa osiedlili się w majątku swoim Spas-skoje i tam prowadzili życie wystawne, zbytko-
wne, przyjmując mnóstwo gości, wśród zabaw i gwa-

ru. To właśnie życie bogatego dworu a jednocześnie widok nieszczęścia i nędzy, w jakiej znajdowali się poddani włościanie, bez woli, od kaprysu panów swych zależni—oddziaływały na wrażliwą duszę dziecka i młodzieńca i były powodem, że Turgeniew panicz, stał się Turgeniewem autorem, obrońcą biednych, uciśnionych, rzecznikiem sprawiedliwości, jednym z najgorliwszych propagatorów idei oswobodzenia włościan.

W roku 1830 oddano go do szkoły prywatnej w Moskwie, a w 1834 wstąpił tamże do uniwersytetu, na wydział literacki; następnie przeszedł na takiż wydział do uniwersytetu potersburskiego i tam ukończył kurs ze stopniem kandydata.

W owym czasie młodzież ciągnęła do Niemiec, a filozofia niemiecka zajmowała wszystkie wybitniejsze umysły; Turgeniew podążył także do tego źródła i przez dwa lata słuchał wykładów w Berlinie.

W roku 1843, powróciwszy do Rosyi, wydrukował pierwszy swój większy utwór, poemat p. t. „Parasza”, który nie zrobił wrażenia; jeden tylko Bieliński, znakomity krytyk rosyjski, wyraził się o tym poemacie przychylnie. Recenzja Bielińskiego była dla Turgeniewa bodźcem i zachętą do pracy. W Petersburgu przebywał cztery lata, poczem w roku 1846 wyjechał znów za granicę.

Przed rokiem 1852, to jest przed wydaniem w oddzielnej książce „Zapisek myśliwego”, Turge-

niew nie był ani sławny, ani znany czytającemu ogółowi. Te istotnie miały na sobie piętno geniuszu i uznane zostały za arcydzieła, nie przez krytykę, ale naprzód przez czytelników. Książka była rozchwyтана.

W lutym 1852 r. umarł Gogol. Turgeniew napisał nekrolog autora „Martwych dusz”, a ponieważ cenzura petersburska nie pozwoliła go wydrukować, umieścił nekrolog w „Moskiewskich Wiedomościach.” Fakt ten miał dla Turgeniewa przykre następstwa, wsadzono go do aresztu na miesiąc, poczem wyprowadzono go na wieś. Ów domowy areszt we wsi Spasskoje nie był dla Turgeniewa zbyt przykrym, to mu tylko dokuczało najbardziej, że nie mógł wyjechać za granicę. Pracował na wsi dużo, a każde nowe jego dzieło zwracało na siebie uwagę powszechną i wywoływało gorącą polemikę dziennikarską.

Jak tylko dozwolono mu było opuścić wieś, wyjechał natychmiast za granicę, gdzie też większą część życia swego przepędził.

Za mało mamy miejsca, aby napisać wyczerpujący życiorys autora „Ojców i dzieci”, za mało, aby scharakteryzować jego literacką działalność; w pobieżnej notatce biograficznej zaznaczamy tylko ważniejsze momenty jego życia.

W roku 1858 powrócił na krótki czas do kraju, ale pozostać na zawsze nie chciał. Stosunek jego z rodziną znakomitej śpiewaczki Viardot-Garcia

stawiał się coraz bliższy—nie mógł już żyć bez tych, jak nazywał, „swoich”. Chciał też urzeczywistnić i urzeczywistnił swoje marzenie, aby stać się pisarzem europejskim. Utwory, jego, tłómaczone na wszystkie prawie języki, znalazły zasłużone uznanie. Można też o nim powiedzieć, że on pierwszy zapoznał Europę z literaturą rosyjską wogóle.

Osiedlił się na stałe w Badenie.

Powieść „Ojcowie i dzieci” przyniosła mu wiele chwil gorzkich; młodzież była oburzona na Turgeniewa i dawała mu to uczuć. Przeżył bolesne chwile, ale nie wytrąciły mu one pióra z ręki. Napisał „Nów”, „Pieśń tryumfującej miłości”, „Zrozpaczony”, „Wiersze prozą”, „Klara Milicz” i przed samą śmiercią „Pożar na morzu”.

Umarł 23 sierpnia 1883 r. w Bougivalle, mając lat 65.

Te kilka prześlicznych nowell z „Zapisek myślowego”, które podajemy w przekładzie czytelnikom „Biblioteki”, będą zapewne mile przyjęte, jako utwory pisarza pierwszorzędnego talentu.

Kl. J.

I.

Lekarz powiatowy.

Pewnego razu w jesieni, powracając z polowania, zaziębilem się i zaniemogłem. Na szczęście, febra zaskoczyła mnie w mieście powiatowem, w zajeździe; posłałem więc po lekarza.

W pół godziny później przyszedł lekarz powiatowy, człowiek niewielkiego wzrostu, szczupły i czarnowłosy. Zapisał mi lekarstwo na poty, kazał przyłożyć synapizma, bardzo zręcznie wpuścił do kieszeni banknot pięciorublowy — przyczem jednak sucho kaszlnął i spojrzał w inną stronę—i już zabierał się do odejścia, ale jakoś rozgawędził się i został.

Gorączka mnie męczyła, przewidywałem noc bezsenność, więc rad byłem pogwarzyć z dobrym człowiekiem.

Podano herbatę; mój doktor stał się rozmownym. Był to człowiek niegłupi, mówił żwawo i w sposób dość zajmujący.

Dziwnie bywa na świecie: Można z kimś mieszkać razem i długo, być w stosunkach przyjaznych,

i ani razu nie pomówić z nim otwarcie, serdecznie, a czasem znów tak się trafia, że odrazu, od pierwszych chwil, po pierwszym poznaniu się, już panuje szczerłość i albo ty jemu, albo on tobie, zupełnie jak na spowiedzi, wyjawia wszystkie swoje tajemnice.

Nie wiem; czem zasłużyłem sobie na zaufanie mego nowego przyjaciela, ale ni ztąd ni zowąd, „wziął“ on, jak to się mówi, i opowiedział mi dość interesujący wypadek. Postaram się powtórzyć to czytelnikowi temi samemi słowy, co doktor.

— Nie znasz pan zapewne—zaczął on głosem osłabionym i drżącym (taki jest skutek używania berzowskiej tabaki bez domieszek)—nie znasz pan zapewne tutejszego sędziego Myłowa, Pawła Łukicza?... Nie znasz pan... No, to wszystko jedno... (Znowuż odkaslnął i przetarł oczy)... Otóż, racz pan wiedzieć, było to... jakby powiedzieć, żeby nie skłamać, podczas wielkiego postu, w same roztopy... Jestem ja u niego, u naszego sędziego, i gram w preferansa... Sędzia nasz bardzo dobry człowiek i wielki amator kart... Wtem powiadają mi: jakiś człowiek pana szuka. Pytam: co mu trzeba? Mówią, że przyniósł jakąś karteczkę—zapewne od chorego... No, dobrze, bo rozumiesz pan przecie, to nasz chleb... Cóż się pokazuje? pisze do mnie obywatelka, wdowa, pisze: córka moja umiera, przyjeżdżaj pan na miłość Boga... konie po pana posyłam... No, to wszystko jeszcze nic... ale mieszka ta pani o dwadzieścia cztery wiorsty od miasta, a tu noc ciemna a droga straszna... I biedna przytem ta obywatelka, więcej nad dwa ruble nie można się spodziewać i to jeszcze rzecz wąpli-

wa... kto wie, czy nie trzeba będzie poprzestać na płótnie lub jakichś krupach.

Rozumie pan jednak... obowiązek przedewszystkiem — człowiek umiera... — Oddaję karty stałemu członkowi komisji, Kaliopinowi, i idę do domu. Patrzę: stoi wózek przed gankiem: koniki włościańskie... brzuchate, okropnie brzuchate; sierć na nich istny wołok, a furman, przez uszanowanie dla mnie, siedzi bez czapki. No, myślę sobie, znać że twoi państwo nie jadają na złocie.

Pan się śmieje, a jednak my, ludzie biedni, na wszystko zwracamy uwagę... Kiedy stangret siedzi na koźle jak księżę, czapki w ręku nie mnie, a jeszcze uśmiecha się z pod brody, i przytem biczykiem wymachuje — liczą śmiało na honorarium! Tu, widzę, zupełnie co innego. Jednak, myślę sobie, niema co... obowiązek przedewszystkiem... Biorę najpotrzebniejsze lekarstwa i jadę... Czy dasz pan wiarę, ledwie się dowlokłem! Droga piekielna: kałuże, śnieg, błoto, wyboje, tam znowuż grobla przerwana...

Jednak przyjeżdżam... Domek małej, słomą kryty. W oknach świeci się... widać, że czekają... Naprzeciw mnie wychodzi staruszka, poważna taka, w czepcu... Ratuj pan, mówi, umiera!.. Nie lękaj się pani, odpowiadam... Gdzie chora? — Oto tutaj, proszę... Patrzę: pokoik czyściuteńki, w kącie lampa, na łóżku panna, dwudziestoletnia, nieprzytomna. Żar od niej bije, oddech ciężki... gorączka. Obok stoją dwie panny, siostry, przerażone, we łzach...

— Oto, mówią, wczoraj była zupełnie zdrowa i jadła z apetytem; dziś od rana zaczęła się skarżyć na ból głowy, a na wieczór... już w takim stanie,

jak pan widzi!.. Ja znowuż uspakajam: nie obawiajcie się panie, obowiązek doktora... Przystąpiłem do chorej... Puściłem jej krew, kazałem postawić synapizmą, przepisałem miksturę. Patrzę na chorą, patrzę i wiesz pan... no, dalibóg, nie widziałem jeszcze takiej twarzy!... Jednem słowem piękność! Żal mnie zdjął... Takie miłe rysy twarzy... oczy... No, chwala Bogu, uspokoiła się: wystąpił pot, zda się oprzytomniała, spojrzała dokoła, uśmiechnęła się... Siostry nachyliły się nad nią, pytają: co ci jest? — Nic, odrzekła i odwróciła się. Patrzę, zasnęła. No, powiadam, teraz trzeba chorą zostawić w spokoju. Wyszliśmy wszyscy pocichu, na palcach, została tylko służąca, na wszelki wypadek...

A w saloniku już samowar na stole i jamajski również (arak): bez tego w naszym zawodzie nie można. Podają mi herbatę, proszą, abym pozostał na noc.... Zgodziłem się na to; jakżeż było jechać? Staruszka wciąż wzdycha. Czemu? pytam, córka żyć będzie, nie obawiaj się pani, połóż się, spocznij. Druga godzina! — Lecz każesz mnie pan obudzić, jeśli się co stanie? — Każę, każę... Staruszka wyszła, panny również, dla mnie w saloniku posłano. Położyłem się, lecz zasnąć ani sposób... Co za dziwo.... przecież namęczyłem się chyba dość... Chora z myśli mi wyjść nie może. Nareszcie, nie mogłem wytrzymać, wstałem. Pójdę, myślę sobie, zobaczę, co robi pacjentka? A sypialnia jej obok saloniku. Wstałem, pocichutku otworzyłem drzwi... serce mi biło... Patrzę: służąca spi, otworzyła usta i chrapie nawet, bestya; chora leży, twarzą do mnie zwrócona, biedaczka! Zbliżam się... Nagle otworzyła oczy i za-

częła się we mnie wpatrywać...—Kto to? Kto?! Zmieszale się... — Nie obawiaj się pani, rzekłem, jestem lekarz, przyszedłem zobaczyć, jak się pani czuje.— Pan doktor? — Doktor, doktor... pani mama wezwała mnie; puściliśmy pani krew, teraz odpoczywamy, a za dwa dni, da Bóg, postawimy panią na nogi... — Ach tak, tak doktorze, nie dajcie mi umrzeć, nie dajcie! — „Co też pani mówi!“ Gorączka się zwiększyła, zbałam puls—gorączka! Ona popatrzyła na mnie i naraż bierze mnie za rękę.—Ja powiem panu, dlaczego umierać nie chcę... Powiem: Jesteśmy sami, tylko proszę pana, przed nikim... Słuchaj pan... słuchaj. Pochyliłem się nad nią, przybliżyła usta do mego ucha, włosami dotyka mej szczęki — przyznaję, że i mnie samemu zakręciło się w głowie — i zaczęła szeptać... Nic nie rozumiem... Ach! tak... ona bredzi. Szeptala, szeptala, szczególnie jakoś i jakby nie po rusku; wreszcie skończyła, wstrząsnęła się, opuściła głowę na poduszki i pogroziła mi palcem:—Pamiętaj-że doktorze, nikomu... nikomu!.. Uspokoiłem ją jako-tako, dałem jej pić, obudziłem służącą—i wyszedłem.

Tu lekarz znowuż namiętnie zażył tabaki i zamilkł.

— Jednakże—ciągnął po chwili—nazajutrz, wbrew moim przewidywaniom, stan chorej nie polepszył się. Pomyślałem przez chwilę i postanowiłem zostać, chociaż czekali na mnie inni pacyenci... A wiesz pan, tego zaniedbywać nie można, praktyka na tem cierpi.

Lecz, przedewszystkiem, chora znajdowała się istotnie w stanie rozpaczliwym, a po drugie, prawdę mówiąc, miałem dla niej silną sympatyę. Przytem

podobała mi się i rodzina. Kobiety, aczkolwiek niezamożne, lecz wykształcone, jak rzadko. Ojciec by człowiek uczony, autor; umarł, ma się rozumieć w biedzie, zdołał jednak wykształcić znakomicie umysły dzieci i zostawił im także wiele książek. Czy to dlatego, że bardzo gorliwie zająłem się chora, czy były jakie inne po temu przyczyny, dość że, śmiem powiedzieć, pokochano mnie w tym domu, jak krewne-go... Tymczasem roztopy zrobiły się straszne, wszystkie komunikacje, że tak powiem, przerwane zostały zupełnie, nawet lekarstwa zaledwie z wielkim trudem można było z miasta sprowadzać. Chorej nie było lepiej. Dzień za dniem, dzień za dniem... Lecz oto, (tu lekarz przerwał)... doprawdy sam nie wiem, jak to panu wyłożyć. (Znowuż zażył tabaki, odkaslnął wypił łyk herbaty). Powiem zresztą wprost, moja chora... jakby to... no, pokochała mnie, czy co... mnie, to jest może i nie pokochała, lecz tak jakoś... a zresztą... może... (Lekarz zmieszał się i zarumienił).

— Nie, ciągnął dalej z ożywieniem — jakżeż znowu pokochała! Człowiek powinien wiedzieć, co jest wart... Panna była wykształcona, rozumna, czytana, a ja nawet swojej łaciny zapomniałem już, że tak powiem, zupełnie. Co do mej figury (tu spojrzał z uśmiechem na siebie) także, sędzę, że nie mam się czem pochwalić... Lecz głupcem Pan Bóg mnie nie stworzył, nie nazwę czarnem tego, co jest białe, i co nieco także rozumiem. Rozumiałem to, na przykład, bardzo dobrze, że Aleksandra Andrejewna — ją Aleksandrą Andrejewną nazywano — nie miała dla mnie uczucia miłości, lecz jakąś skłonność przyjazną, szacunek, czy coś takiego... Chociaż ona sama może się

co do tego myliła, jednak położenie jej było takie... Osądź pan sam... Zresztą, dodał lekarz, który to wszystko wypowiedział urywkowo, szybko i z pewnem zmieszaniem się, zdaje mi się, że się trochę zagalopował. Tak pan nic nie zrozumie... opowiem więc, wszystko po kolei.

Wypił herbatę i zaczął mówić dalej, głosem więcej spokojnym.

— Tak, tak, panie... Mojej chorej było coraz gorzej i gorzej... Szanowny pan nie medyk, nie może więc rozumieć, co się dzieje w duszy lekarza, zwłaszcza w pierwszych latach zawodu, kiedy zaczyna odgadywać, że chorobie rady nie da, że ona jego pokona! Gdzież się podziwiał pewność siebie! Człowiek głupiej poprostu! Zdaje mu się, że zapomniał wszystko, co umiał, że chory mu nie dowierza, że otoczenie zauważyło ten brak stanowczości, że pa-trzy podejrzliwie, że niechętnie mówi o symptomach... Och! fatalnie! Wszakże, myśli sobie taki lekarz, jest na tę chorobę lekarstwo, trzeba je tylko znaleźć. Czy nie to czasem? Próbuje — nie, nie to. Nie da czasu, aby mogło poskutkować jak należy... chwytła się to tego, to owego. Bierze do ręki książkę... no, przecież w niej są recepty!.. Czasem otwiera ją na chybi trafi, myśli: a może to akurat to... A chory tymczasem umiera... a inny lekarz może byłby go ocalił...

Mówisz do otoczenia: trzeba zwołać konsylium, ja odpowiedzialności na siebie brać nie chcę. I wyglądasz wówczas, jak głupiec, jak głupiec! Ma się rozumieć, z czasem można się z tem oswoić. Umarł

pacyent — nie moja wina, leczyłem go sumiennie, według wszelkich reguł, ale co zawsze jest męczącym, to owo zaufanie ślepe! Widzisz je a czujesz to, że pomódz nie możesz. Takie zaufanie właśnie miała do mnie cała rodzina Aleksandry Andrejewny, zapomnieli myśleć nawet, że ta dziewczyna znajduje się w niebezpieczeństwie. I ja ze swej strony pocieszam ich, uspakajam, że groźnego nic nie ma, a mnie samemu dusza w pięty ucieka. Na domiar nieszczęścia, takie roztopy, że lekarstwa z miasta trudno sprowadzić. Nie wychodzę z pokoju chorej, oderwać się nie mogę. Różne, że tak powiem, wesołe anegdotki opowiadam, w karty z nią gram, przesiaduję po całych nocach. Staruszka dziękuje mi ze łzami, a ja myślę sobie: nie wart jestem twoich dziękczynień!.. Przyznam się panu otwarcie, bo już teraz niema co ukrywać—zakochałem się w mojej pacjentce... I ona przywiązała się do mnie także; bywało, że oprócz mnie jednemu, nie pozwalała nikomu wejść do swego pokoju. Zapytywała, gdzie się kształciłem, jak mi się powodzi, kto są moi krewni, u kogo bywam? Czuję to, rozumiem, że nie powinna męczyć się rozmową—a jednak zabronić jej mówić nie mogę, stanowczo nie mogę. Nieraz chwytałem się za głowę, wyrzucając sobie w duszy:—co robisz, rozbójniku! Czasem weźmie moją rękę, patrzy na mnie, długo patrzy, odwróci się, westchnie i rzeknie: Jakiś pan dobry, a ręce jej rozpalone, oczy wielkie, zmęczone. — Tak—mówi—pan jesteś dobry człowiek, bardzo dobry; nie taki, jak nasi sąsiedzi, o! nie taki!... Że też ja pana nie znałam dotychczas...—Pani—powiadam—doprawdy nie wiem, czem zasłużyłem, lecz uspokój

się, na miłość Bożą, uspokój się, wszystko będzie dobrze, zdrowie wróci.

— Tymczasem muszę panu powiedzieć—dodał lekarz, pochylając się naprzód i wznosząc brwi do góry—z sąsiadami ta rodzina nie miała prawie żadnych stosunków, dlatego, że biedniejsi nie byli dla niej odpowiedniem towarzystwem, z bogatymi zaś nie wdawała się przez dumę. Powiadam panu, że była to rodzina bardzo wykształcona i otóż to właśnie mi pochlebiało. Chora tylko z moich rąk przyjmowała lekarstwa; podniesie się cokolwiek na łóżku przy mej pomocy, wypije i spojrzy na mnie... Aż się serce ściska!...

Tymczasem coraz jej gorzej i gorzej... myślę sobie: umrze, napewno umrze! Wierz mi pan, że sam wolałbym być położyć się w trumnie. A tu matka, siostry, wciąż patrzą mi w oczy... mają zaufanie.—Co? Jak?—Nic, nic, odpowiadam, a to takie nic, że można oszaleć! Oto siedzę pewnego razu w nocy przy chorej, znów sam jeden... Dziewka siedzi w tymże pokoju, śpi i chrapie, aż szyby drżą. Nie ma się czemu dziwić, dziewczka się także zmęczyła. Chora przez cały ten wieczór czuła się bardzo niedobrze, gorączka ją trawiła. Do samej północy rzucała się niespokojnie, nareszcie zdaje się, że zasnęła... nie rusza się, leży w kącie; przed obrazem pali się lampa. Ja siedzę, drzemię także. Nagle, jakby mnie kto w bok uderzył, obejrzałem się; Boże wielki! Chora patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, policzki jej płoną. — Co pani? pytam. — Doktorze, wszak ja umrę? — Niechże Bóg bron! — Nie, doktorze, nie; i nie mów mi, że ja żyć będę, nie

mów. O gdybyś pan wiedział! Słuchaj, na Boga, nie ukrywaj przedemną prawdy! Jeżeli będę wiedziała, że muszę umrzeć, wtenczas powiem panu wszystko, wszystko...—Zmiłuj się pani!—Ja nie spałam, dawno patrzę na pana, ja panu wierzę; jesteś człowiek dobry, uczciwy; zaklinam pana na wszystko, co masz najdroższego na świecie, powiedz mi prawdę! O gdybyś wiedział, jak to ważne dla mnie! Doktorze, na Boga! powiedz mi pan, czy znajduję się w niebezpieczeństwie. Błagam pana o to! — Nie ukrywam — rzekłem — że w istocie, choroba pani jest niebezpieczna, ale... Bóg łaskaw.—Ja umrę, umrę!—powtarzała, jakby uradowana i twarz jej przybrała wyraz wesoly. Przeląknęłam się.—Ależ nie bój się pan—rzekła—śmierć nie jest dla mnie straszna... Podniosła się i oparła na łokciu.—Teraz—rzekła—no teraz, mogę panu powiedzieć, że wdzięczna panu jestem z całej duszy, żeś pan człowiek dobry... że pana kocham... Patrzę na nią, jak szalony. — Słyszysz pan, kocham pana—powtórzyła. — Czem mogłem na to zasłużyć? — Nie, nie, pan mnie nie rozumiesz, ty nie rozumiesz mnie!... Nagle wyciągnęła ręce, objęła moją głowę i ucałowała... Czy dasz pan wiarę, że o mało nie krzyknąłem; padłem na kolana przy łóżku i ukryłem głowę w poduszkach. Ona milczy i palce jej drżą na moich włosach, słyszę, że płacze... Zacząłem ją pocieszać, zapewniać; sam nie wiem, co do niej mówiłem.—Dziewczyne—rzekłem—obudzę, dziękuję pani... wierzę... trzeba się uspokoić...—Dość, dość—odrzekła—niech ich Bóg ma w swojej opiece, obudzą się, to przyjdą; wszystko jedno, przecież mam umrzeć... A ty czemuś posmutniał, czego się boisz? Podnieś głowę...

A może, może pan mnie nie kocha, może zawiodłam się... w takim razie proszę o przebaczenie.—Co pani mówi! Ja panią kocham, kocham! Spojrzała mi prosto w oczy.—Więc obejmij mnie—rzekła. Wyznam panu otwarcie, że nie rozumiem, dlaczego nie oszalał owej nocy. Czuję, że chora się gubi, że nie jest zupełnie przytomna, rozumiem także i to, że gdyby nie wiedziała, że umrze, nie pomyślałaby o mnie wcale... Juścić, jak pan chcesz, ale przykro jest umierać, mając dwadzieścia pięć lat życia i nie pokochawszy nikogo.. Oto co ją męczyło, oto dlaczego ona z rozpaczyny pokochała mnie! Rozumie pan teraz? Nie wypuszcza mnie ze swoich rąk.—Pani—mówię—zlituj się nademną i nad sobą.—Czego żalować?—odpowiada — wszakże mam umrzeć. Ciągłe to powtarzała: Gdybym wiedziała, że żyć będę i znów liczyć się do szeregu porządných panien, wstydziłabym się, bardzo bym się wstydziła... a tak, cóż?! — Ale kto pani powiedział, że umrzesz?—O nie! nie, ty mnie nie oszukasz, ty kłamać nie umiesz!..—Będiesz żyła, ja panią wyleczę, poprosimy matkę o błogosławieństwo, pobierzemy się, będziemy szczęśliwi... — Nie, dałeś mi słowo, że umrę, obiecałeś mi to. Było mi gorzko, z wielu przyczyn gorzko. I osądz pan sam, jak to się czasem dziwnie składa; zdaje się, że niby nic, a jednak przykro, boleśnie. Przyszło jej do głowy zapytać mnie o imię, nie o nazwisko, lecz o imię chrzestne. Trzeba nieszczęścia, że nazywają mnie Tryfonem... Tak, tak, Tryfonem Iwanowiczem. Cóż robić? zapytany, odpowiadam, jak prawda: — Tryfon. Zmarszczyła się, pokręciła główką i szepnęła kilka wyrazów po francusku. Nie dobre

to były jakieś wyrazy — i rozśmiała się także jakoś niedobrze.

Przepędziłem z nią prawie całą noc; nad ranem wyszedłem jak zagorzały i powróciłem do niej już za dnia, po herbacie. Boże! Boże! Poznać jej nie było można, tak się zmieniła!.. Zapewniłam pana honorem, że teraz literalnie pojąć nie jestem w stanie, jak mogłem wytrzymać te tortury. Trzy dni i trzy noce przemęczyła się jeszcze moja chora... i jakie noce! Co ona do mnie mówiła! A ostatniej nocy, wyobraź pan sobie, siedzę przy niej i już tylko proszę Boga w duchu, aby ją zabrał prędzej i mnie tak-że — wtem matka staruszka wchodzi do pokoju. Już w wigilię tego dnia powiedziałem był matce, że stan jest groźny, nadzieja bardzo słaba i że wartoby posłać po duchownego. Chora, zobaczywszy matkę, rzekła: — Jakto dobrze, mamu, żeś przyszła, spojrzysz na nas, my się kochamy, daliśmy sobie słowo. — Co ona, doktorze, co ona? — zapytała matka. Zmartwiałem. — Bredzi — rzekłem — w gorączce. A ona na to: — Nie zaprzeczaj, przed chwilą mówiłaś inaczej i pierścionek przyjąłeś odemnie. Dlaczego udajesz? Matka jest dobra, przebaczy, zrozumie, a ja umieram, więc pocóż mam kłamać? Daj mi rękę... Wybiegłem z pokoju... Staruszka domyślała się....

— Nie będę pana męczył dłużej opowiadaniem, a przyznam się, że i mnie samemu ciężko przypominać to wszystko... Na drugi dzień moja chora umarła. Niech jej Bóg da królestwo niebieskie — dodał z westchnieniem. Przed śmiercią kazała wszystkim wyjść z pokoju i została ze mną sam na sam. — Wybacz mi pan — rzekła — być może, że zawiniłam

względem ciebie... lecz wierz mi, że nie kochałam oprócz ciebie nikogo... Nie zapominaj o mnie, zachowaj mój pierścionek.

Lekarz odwrócił się — ja wziąłem go za rękę.

— Eh — rzekł — mówmy lepiej o czem innem, albo możebyśmy zagrali w preferansika, niedrogo? Tacy ludzie, jak ja, nie powinni oddawać się wzniosłym uczuciom. Tacy powinni myśleć tylko o tem, aby dzieci nie piszczwały, żona nie robiła kłótni. Boć ja później, widzi pan, wstąpiłem, jak to się mówi, w związki małżeńskie. Tak, tak. Wziąłem za żonę córkę kupca i siedm tysięcy posagu. Imię jej Akulina — akurat dla Tryfona. Baba zła, ale na szczęście, po całych dniach sypia. A cóż nasz preferansik?

Zasiedliśmy do gry po kopiejce. Tryfon Iwanowicz wygrał odemnie półtrzecia rubla i odszedł późno, bardzo zadowolony ze swego zwycięstwa.

II.

Burmistrz.

O piętnaście wiorst od mego majątku mieszka pewien młody ziemianin, dymisyonowany oficer gwardyi, Arkadyusz Pawłowicz Pienoczekin.

Zwierzyny w jego majątku jest bardzo wiele; dom zbudowany podług planów architekta francuskiego, służba ubrana po angielsku; obiady daje doskonałe, gości przyjmuje nader uprzejmie — i pomimo tego, jeżdżę do niego niechętnie.

Jest to człowiek rozsądny i stateczny, otrzymał wykształcenie, służył w wojsku, bywał w wyższych towarzystwach, a obecnie z powodzeniem zajmuje się gospodarstwem.

Arkadyusz Pawłowicz, mówiąc własnymi jego słowami, jest surowy lecz sprawiedliwy, troszczy się o szczęście swych poddanych i wymierza im kary, również dla ich szczęścia. „Trzeba z nimi postępować, jak z dziećmi, powiada: „ciemnota“, mon cher, il faut prendre cela en consideration“ — sam w wypadkach tak zwanej smutnej konieczności, unika wszelkich ruchów gwałtownych i nie lubi podnosić głosu.

Jest on niewielkiego wzrostu, kształtnie zbudowany, wcale niebrzydki, ręce i paznogie utrzymuje bardzo starannie, rumiane jego usta i policzki kwitną zdrowiem.

Ubiera się z gustem, sprowadza książki francuskie, ryciny i gazety, lecz nie jest wielkim amatorem czytania, „Żyda wiecznego tułacza“ ledwie przemęczył. W karty gra doskonale. Wogóle Arkadyusz Pawłowicz ma reputację bardzo wykształconego szlachcica i najpoważniejszego kandydata do żeniaczki w całej naszej gubernii. Trzyma się zawsze dobrze, jest ostrożny jak kot, od urodzenia nie był wmieszany w żadną historię, chociaż, w razie potrzeby, lubi dać się poznać i zaimponować komu nieśmialemu.

Złem towarzystwem literalnie pogardza, boi się skompromitowania; zato w wesołych chwilach ogłasza się za zwolennika Epikura, chociaż wogóle o filozofii wyraża się pogardliwie, nazywając ją „mglistym pokarmem dusz niemieckich“, a niekiedy poprostu brednią, nonsensem.

Muzykę lubi, przy kartach nuci przez zęby, lecz z uczuciem; pamięta różne wyjątki z „Łucyi z Lamer-mooru“ i z „Lunatyczki“, lecz śpiewa bardzo wysoko. Na zimę jeździ zwykle do Petersburga. Porządek w domu u niego jest nadzwyczajny; nawet stangreci poddali się jego wpływowi i codziennie nietylko wycierają chomonta i czyszczą liberyę, ale myją nawet swoje własne twarze.

Jego ludzie dworscy patrzą, co prawda, z po-delba, ale u nas w Rosyi trudno odróżnić człowieka ponurego od zaspanego.

Arkadyusz Pawłowicz mówi zawsze głosem miękkim i przyjemnym, z przerwami, jakby z przyjemnością przepuszczając każdy wyraz przez swe prześliczne, wyperfumowane wąsy; używa także wiele wyrażań francuskich, jako to: „mais c'est impayable,“ — „mais comment donc“ etc.

Z tem wszystkiem, ja przynajmniej, odwiedzam go, co prawda, niechętnie i gdyby nie ciętrzewie i kuropatwy, dawnobym przerwał tę znajomość.

Pomimo mojej niesympatii dla Arkadyusza Pawłowicza, przepędziłem jednak u niego noc. Naza jutrz rano, bardzo wcześnie, kazałem zaprządz do swej bryczki, lecz uprzejmy gospodarz nie chciał mnie puścić bez śniadania na sposób angielski, i wprowadził mnie do swego gabinetu.

Razem z herbatą podano nam kotlety, jajka na miękko, masło, miód, ser i t. d.

Dwaj kamerdynerzy w czystych, białych rękawiczkach szybko i w milczeniu uprzedzali nasze życzenia.

Siedzieliśmy na perskiej sofie; Arkadyusz Pawłowicz miał na sobie szerokie szarawary jedwabne, czarną kurtkę aksamitną, piękny fez z chwastem i żółte chińskie pantofle bez napiętków. Pił herbatę, śmiał się, przypatrywał się swoim paznogciom, palił, podkładał sobie poduszki pod bok i wogóle czuł się w jak najlepszym usposobieniu.

Podjadłszy dobrze i z przyjemnością widoczną, nalał sobie czerwonego wina, podniósł kieliszek do ust i nagle zmarszczył się:

— Dlaczego wino nieogrzone? — zapytał dość ostrym głosem kamerdynera.

Kamerdyner zmieszał się, stanął jak wryty i zbladł.

— Wszak pytam cię, kochanie, dlaczego wino nieogrzone? — ciągnął spokojnie Arkadyusz Pawłowicz, nie spuszczać z niego wzroku.

Nieszczęsny kamerdyner kręcił serwetą i nie odpowiadał.

— Pardon, mon cher — rzekł uprzejmy gospodarz do mnie i znów zwrócił się do kamerdynera.

— No, idź — dodał po krótkim milczeniu i zadzwonił.

Wszedł człowiek gruby, czarnowłosy, z niskiem czołem i podpuchłymi oczami.

— Zrobić tam porządek z Fedorem — rzekł Arkadyusz Pawłowicz półgłosem, spokojnie.

— Słucham — odpowiedział gruby i wyszedł.

— Voilà, mon cher, les désagréments de la campagne — zauważył wesoło Arkadyusz Pawłowicz. — Dokądże to? Zostań pan jeszcze, posiedź trochę.

— Nie — odpowiedziałem — już czas.

— Na polowanie. Och! ci myśliwi! Dokądże pan teraz jedziesz?

— Czterdzieści wiorst ztąd, do Riabowa.

— Do Riabowa? W takim razie i ja pojedę z panem. Jest to tylko pięć wiorst od mojej Szypilówki, a w Szypilówce nie byłem już dość dawno, nie miałem czasu. Wybornie się składa: pan zapołuje, a wieczorem do mnie. Zjemy razem kolację, weźmiemy z sobą kucharza i przenocujesz pan u mnie. Prześlicznie, prześlicznie — dodał — nie czekając na moją odpowiedź. — C'est arrangé. Hej! jest tam

kto?... Kazać zaprządz do powozu, prędzej! Jedziemy! jedziemy!

Zaczął śpiewać jakiś romans francuski.

— Pan zapewne nie wiesz — ciągnął — że tam u mnie chłopci płacą czynsz. Konstytucya. Cóż robić?! Jednak czynsz płacą akuratnie, co prawda; dawno wziąłbym ich na pańszczyznę, ale mało ziemi i tak dziwię się, jak oni mogą wystarczyć, zresztą c'est leur affaire. Mam tam doskonałego burmistrza, une forte tête, mąż stanu, zobaczysz pan...

Cóż było robić. Zamiast o dziewiątej, wyjechaliśmy o drugiej; każdy myśliwy zrozumie moją niecierpliwość. Arkadyusz Pawłowiczabrał z sobą taką masę bielizny, produktów, ubrań, perfum, poduszek i różnych nesesserów, że dla niejednego oszczędnego Niemca wystarczyłoby to na cały rok. Przy każdym zjeżdżaniu z góry miał krótką, lecz energiczną przemowę do stangreta, z czego wywnioskować mogłem, że jest porządny tchórz. Zresztą podróż odbyła się bardzo pomyślnie, tylko na jednym, niedawno zreperowanym mostku, zawałił się wóz z kucharzem i tylnem kołem przygniół mu brzuch.

Arkadyusz Pawłowicz, widząc tę katastrofę, przestraszył się nie żartem i natychmiast kazał zapytać, czy kucharz ma całe ręce?

Otrzymałszy odpowiedź twierdzącą, natychmiast się uspokoił.

Jechaliśmy dość długo. Siedziałem w jednym powozie z Arkadyuszem Pawłowiczem; pod koniec podróży czułem się śmiertelnie znudzonym, tembardziej, że w przeciągu kilku godzin jazdy mój towarzysz wypowiedział już wszystko, co miał do powie-

dzenia i zaczął być liberalnym. Nakoniec przyjechaliśmy, ale nie do Riabowa, lecz wprost do Szypilówki. Tego dnia już polować nie mogłem i z bólem serca poddałem się losowi.

Kucharz przyjechał o kilka minut wcześniej od nas i widocznie już zdążył uprzedzić kogo należało, dlatego, że przy samym wjeździe powitał nas starosta (syn burmistrza), wielki i ryży chłop, sążniowego wzrostu, konno i bez czapki, w nowej kapocie rozpiętej.

— Gdzie jest Sofron? — zapytał go Arkadyusz Pawłowicz.

Starosta najpierw zręcznie zeskoczył z konia, skłonił się panu do pasa i rzekł:

— Witajcie ojcze, Arkadyuszu Pawłowiczu.

Potem podniósł głowę i oznajmiał, że Sofron pojechał do Perowa, lecz że już po niego posłano.

— No, jedź za nami — rzekł Arkadyusz Pawłowicz.

Starosta odprowadził konia na bok, wsiadł na niego i puścił się klusem za powozem, trzymając czapkę w ręku.

Jechaliśmy przez wieś, z przeciwnej strony, na próżnych wozach, jechało kilku chłopów; wracali oni z gumna, śpiewali pieśni, podskakując całem ciałem i machając nogami w powietrzu.

Ujrzawszy nasz powóz i starostę, nagle zamilkli, zdjęli swoje zimowe czapki (rzecz działa się latem) i patrzyli, jakby oczekując rozkazu. Arkadyusz Pawłowicz łaskawie im się uklonił. Jakieś trwożliwe zaniepokojenie widać było w całej wsi. Baby w kra- ciastych chustkach rzucały drewnami na niedomyślne,

czy też zbyt gorliwe psy; kulawy starowina, z brodą, zaczynając się pod samemi oczami, odciągnął niedojonego konia od studni, uderzył go, nie wiadomo za co, w bok, i dopiero się uklonił. Dzieci w długich koszulinach biegły z krzykiem do chat, kładły się brzuchami na wysokim progu, zwieszały głowy, zarzucały nogi do góry i takim sposobem, bardzo zgrabnie wpadały do ciemnych sieni, z kąda się już nie pokazywały. Nawet kury biegły szybko na podwórze; jeden śmiały kogut, z czarną piersią, wyglądającą jak atlasowa kamizelka, i czerwonym ogonem, zakręconym aż do samego grzebienia, został na drodze i chciał zapiać, lecz nagle zawstydził się i także uciekł.

Chata burmistrza stała opodal od innych, wśród zagonów gęstych, zielonych konopi. Zatrzymaliśmy się przed wrotami. Pan Pienoczkin wstał, malowniczo zrzucił z siebie płaszcz i wyszedł z powozu; żona burmistrza powitała nas niskimi ukłonami i podeszła do pańskiej rączki.

Arkadyusz Pawłowicz dał jej nacałować się do syta i wszedł na ganek. W sieni, w ciemnym kącie stała starościcha i pokłoniła się również, lecz całować pana po rękach nie śmiała. W tak zwanej chłodnej izbie, z sieni na prawo, uwijały się dwie baby: wynosiły one ztamtąd rozmaite rupiecie, puste dzbany, zdrewniałe kożuchy, garnki, kołyskę z dzieckiem i kupę gałganów; wymiatały śmiecie miotełkami łaziennymi.

Arkadyusz Pawłowicz kazał im wyjść i zasiadł na ławce pod obrazami. Stangreci wnosili kufry, szkatułki i różne pakunki, starając się, wszelkimi

sposobami zmniejszyć stukanie swoich ciężkich butów. Tymczasem Arkadyusz Pawłowicz wypytywał starostę o urodzaje, zasiewy i inne przedmioty gospodarskie. Starosta odpowiadał zadowolniającą, ale jakoś niezręcznie, jakby zmarzłymi palcami kaftan zapinał. Stał on przy drzwiach i ciągle się oglądał; dając przejście zręcznemu kamerdynerowi.

Z po za szerokich pleców starosty udało mi się zobaczyć, jak żona burmistrza, w sieni, tłukła jakąś babę, starając się, aby to było pocichu. Nagle zatrzymał wóz, zatrzymał się przed gankiem—i wszedł burmistrz.

Ten, według Arkadyusza Pawłowicza, mąż stanu, był niewielkiego wzrostu, barczysty, szpakowaty i tęgi, z czerwonym nosem, małą niebieskimi oczami i brodą w kształcie wachlarza. Zauważymy tutaj, że od czasu jak Rosya stoi, nie było jeszcze w niej okazu człowieka wzbogaconego, bez szerokiej brody.

Niektóry przez całe życie swoje nosił bródkę rzadką, śpiczastą, jak klin—nagle wzbogaciwszy się, obłożył się naokoło, jak zorzą; — z kąda się te włosy biorą?

Burmistrz, widocznie podchmielił sobie w Perowie, twarz miał jakby spuchniętą i czuć było wódkę od niego.

— Ach! panie! ojciec nasz, łaskawco ty nasz!—zawołał, jakby śpiewając i z takim zachwytem na twarzy, że zdawało się, iż natychmiast łzami się zaleje—raczyłeś to nareszcie do nas przybyć! Rączkę—dodał, zawczasu wyciągając usta.

Arkadyusz Pawłowicz zaspokoił to żądanie.

— No cóż, bracie Sofronie, jak tu u ciebie idzie? — zapytał głosem łaskawym.

— Ach! panie, ojcie nasz — wykrzyknął Sofron — i jakżeby mogło iść źle? Przecież pan, ojciec nasz, łaskawca nasz, raczyłeś zaszczyścić swoim przyazdem naszą wiosczynę, uszczęśliwiłeś nas, aż do grobu! Dzięki Bogu, Arkadyuszu Pawłowicz, dzięki Bogu, wszystko idzie pomyślnie, z łaski pańskiej.

Tu Sofron przerwał, popatrzył na pana i jakby znów porwany uczuciem (przy czym i wódka swoje robiła), jeszcze raz poprosił o rękę i zaczął znów:

— Ach! panie nasz! ojcie, łaskawco! dalibóg zgłupiałem zupełnie z radości. Patrzę i nie wierzę.

Arkadyusz Pawłowicz spojrzał na mnie, uśmiechnął się i zapytał:

— N'est ce pas que c'est touchant?

— Tak, ojcie Arkadyuszu Pawłowicz, i jakże to będzie? straciłem zupełnie głowę, nie raczyliście zupełnie zawiadomić o przyjeździe. Gdzie przepędzicie noc? Przecież tu nieczystość, śmiecie...

— To nic — z uśmiechem odpowiedział Arkadyusz Pawłowicz — to dobrze.

— Jak dla kogo dobrze; dla chłopca dobrze, ale wszak to nasz pan, ojciec, łaskawca. Wybaczcie mi głupiemu, żem rozum stracił. Dalibóg, zupełnie jestem jak odurzony.

Tymczasem podano kolację. Arkadyusz Pawłowicz zaczął jeść. Syna swego burmistrz wypędził z izby, żeby nie było zaduchu.

— No, cóż? rozmierzylście się? — zapytał pan Pienoczkin, który widocznie chciał naśladować chłopski sposób mówienia i mrugnął na mnie.

— Rozmierzyl, ojcie, wszystko z pańskiej łaski. Onegdaj podpisali papier. Chłynowscy z początku nie chcieli, żądali, żądali, Bóg wie czego żądali, ale to naród głupi. A my, ojczulku, z łaski twojej, wdzięczność pokazaliśmy; Mikołaja Mikołajewicza, pośrednika, zadowolniliśmy. Wszystkośmy zrobili według pańskiego rozkazań, jak pan rozkazać raczył, takeśmy robili, i z wiadomością Jegora Dmitryewicza robiliśmy...

— Jegor mi o tem mówił — rzekł poważnie Arkadyusz Pawłowicz.

— A jakże, ojczulku, Jegor Dmitrycz...

— No, a teraz jesteście kontenci?

Sofron tylko na to czekał.

— Ach! ojcie nasz, łaskawco nasz — zaśpiewał znów — wszakże my za pana modlimy się dzień i noc... Ziemi tylko trochę za mało.

Pienoczkin przerwał mu:

— No dobrze, dobrze, Sofronie, ja wiem, żeś ty gorliwy sługa. A jakże z omlotem?

Sofron drgnął.

— No, panie nasz, ojcie... omlot, to nie bardzo dobry... ale... pozwólcie ojczulku, Arkadyuszu Pawłowicz, powiedzieć wam o bardzo ważnej sprawie (mówiąc to, przybliżył się do pana Pienoczkina, nachylił się i przymrużył jedno oko): martwe ciało znalazło się na naszym gruncie...

— Jak?

— Sam rozumem swoim pojąć tego nie mogę, ojczulku i łaskawco nasz; to szczęście, że się znalazło w bliskości cudzej miedzy, chociaż, nie chcę grzechu tać, na naszym gruncie. Ja je też zaraz na cudzy klin ściągnąć kazałem, póki było można; przy-

stawilem wartę, a swoim zapowiedziałem: macie milczeć. Policyi zaś na wszelki przypadek objaśniłem: oto jakie porządki, mówię, no... i herbata i wdzięczność... I jak pan myśli, wszystko spadło na kark sąsiada, a wiadomo, że martwe ciało dwieście rubli, jak bułka za grosz!

Pan Pienoczkina śmiał się i cieszył ze zrzeczności swego burmistrza i kilkakrotnie odezwał się do mnie, wskazując go ruchem głowy: „Quel gaillard!”

Tymczasem na dworze ściemniało zupełnie. Arkadyusz Pawłowicz kazał sprzątnąć ze stołu i przynieść siano. Kamerdyner wydobył prześcieradła i poduszki. Sofron odszedł do siebie; przed zaśnięciem Arkadyusz Pawłowicz mówił o wielkich zaletach ruskiego chłopca i dodał, że od czasu, gdy Sofron zarządza majątkiem, włościanie szypilowscy nigdy nie zalegają w opłacie czynszu i nie są winni ani grosza.

Nazajutrz wstaliśmy dosyć wcześnie, ja chciałem jechać do Riabowa, lecz Arkadyusz Pawłowicz pragnął mi pokazać swój majątek i uprosił, żebym został. I ja też chciałem się przekonać o zaletach wielkiego męża stanu, Sofrona. Przyszedł i burmistrz. Miał na sobie kapotę granatową, podpasaną czerwonym pasem. Mówił daleko mniej niż wczoraj, patrzył bystro i uważnie panu w oczy, odpowiadał składnie i dobrze. Razem z nim udaliśmy się na gumno. Syn Sofrona, sążnisty starosta, sądząc z powierzchowności, człowiek bardzo głupi, poszedł również z nami i jeszcze przyłączył się do nas Fedosiecz, dymisjonowany żołnierz, z ogromnemi, siwemi wąsami i szczególniejszym wyrazem twarzy; wyglądał on tak, jakby dawno zdziwił się czemś nadzwyczajnie i do-

tychczas nie mógł przyjść do siebie. Obejrzelśmy gumno, stodoły, owczarnie, szopy, wiatrak, obory, ogrody warzywne, zagony konopi; rzeczywiście wszystko było w nadzwyczajnym porządku, jedynie tylko zmęczone i smutne twarze chłopów budziły jakieś wątpliwości. Oprócz pożytecznego, Sofron myślał także i o pięknie: wszystkie rowy obsadził wierzbiną, na gumnie porobił drożki i wysypał piaskiem, na wiatraku zrobił chorągiewkę, wyobrażającą niedźwiedzia z otwartą paszczą i czerwonym językiem, do murowanej obory przylepił coś podobnego do frontonu greckiego i pod frontonem zrobił napis: „Zbódowana wefsi szypilufce f tysiąc ośmset czterdziestym roku ta obora“.

Arkadyusz Pawłowicz rozculił się, a potem zaczął mi wyklądać po francusku wszelkie korzyści oczynszowania, przyczem jednak dodał, — że pańszczyzna dla obywateli jest daleko korzystniejsza.

Zaczął dawać burmistrzowi rady; jak sadzić kartofle, jak przygotowywać paszę dla bydła i t. d. Burmistrz słuchał pańskiej mowy z uwagą, niekiedy wtrącał swoje zdanie, lecz już nie tytułował Arkadyusza Pawłowicza ani ojcem, ani łaskawcą i ciągle mówił, że ziemi mają za mało i, że warto byłoby dokupić.

— No więc kupcie — rzekł Arkadyusz Pawłowicz — kupcie na moje imię, nie mam nic przeciwko temu.

Na to już Sofron nic nie odrzekł, tylko brodę gładził.

— Jednak teraz-by warto pojechać do lasu, zauważył pan Pienoczkina.

Wnet przyprowadzono konie wierzchowe i pojechaliśmy. W lesie zastaliśmy wielką gęstwinę i zapuszczenie, za co Arkadyusz Pawłowicz pochwalił Sofrona i poklepał go po ramieniu. Pan Pienoczkina, co do gospodarstwa leśnego, trzymał się ruskich pojęć i opowiedział mi zaraz nader zabawne, według niego, zdarzenie: jak jeden obywatel, żartowniś, przekonał swego leśniczego, wydariuszy mu na dowód pół brody, że od podrabiania las gęściej nie rośnie... Zresztą pod innemi względami, Arkadyusz Pawłowicz i Sofron nie brzydzili się nowatorstwem. Gdyśmy wrócili do wsi, burmistrz pokazywał nam wialnię, niedawno z Moskwy sprowadzoną. Wialnia działała bardzo dobrze, lecz gdyby Sofron był wiedział, jaka nieprzyjemność czekała i jego i jego pana, to z pewnością nie prowadziłby do wialni, lecz zostałby w domu, wraz z nami.

Oto co się stało. Wychodząc z szopy, ujrzelśmy następujący widok: o kilka kroków odedrzwi, w pobliżu brudnej kałuży, w której wesoło chlapały się trzy kaczkę, stali dwaj chłopię: jeden starzec sześćdziesięcioletni, drugi dwudziestoletni młodzieniec; obadwaj w domowych łątanych koszulach, boso i podpasani postronkami. Fedosiecz kręcił się koło nich i zapewne namawiał, żeby się oddalili, i być może, że byłby ich namówił, gdybyśmy byli dłużej w stodołę, lecz zobaczywszy nas, wyciągnął się, jak struna i jakby skamieniał. Tuż blisko stał starosta, z otwartemi ustami. Arkadyusz Pawłowicz zmarszczył

brwi, zagryzł usta, zbliżył się do chłopów, ci, milcząc, schylił się do jego kolan.

— Co wam trzeba? O co prosicie? — zapytał głosem surowym i trochę przez nos.

Chłopi spojrzeli jeden na drugiego i nie rzekli ani słowa, tylko przymrużyli oczy, jakby od słońca, i zaczęli prędzej oddychać.

— No cóż wy — rzekł znów pan Pienoczkina — języków nie macie? No, mówcie, co wam potrzeba? — dodał, kiwnąwszy głową na starego — nie bójcie się, głupcy!

Starzec wyciągnął swoją ciemną, opaloną, zmarszczoną szyję i ochryplym głosem rzekł: „Ratuj nas, panie!” — i znów uderzył w ziemię czołem. Młody chłop również nisko się uklonił. Arkadyusz Pawłowicz z godnością na nich popatrzył i podniósł głowę.

— No, cóż takiego? Na kogóż się skarżycie?

— Zmiłuj się, panie, daj odetchnąć, zamęczeni jesteśmy zupełnie (stary mówił z trudnością).

— Kto cię zamęczył?

— A Sofron, nasz ojciec i łaskawco.

Arkadyusz Pawłowicz milczał przez chwilę.

— Jak cię zowią? — zapytał.

— Antip.

— A to kto?

— To mój synek.

— No, więc czemuż on cię zamęczył? — rzekł, patrząc z góry na starca.

— Ojciec, zgubił nas zupełnie! Dwóch synów, choć kolej na nich nie była, oddał do wojska, a teraz i trzeciego zabiera. Wczoraj ostatnią krówkę

z podwórza wyprowadził i kobietę moją pobił, oto łaskawca — powiedział i wskazał na Sofrana.

Pan Pienoczkin spochmurniał.

— Co to ma znaczyć — spytał burmistrza półgłosem i z widocznym niezadowoleniem.

— Człowiek pijany — odpowiedział burmistrz — próżniak, z zaległości nie wychodzi już piąty rok.

— Sofron Jakowlicz za mnie zaległość wniósł, już piąty rok temu jak wniósł — i od tej pory wpędził mnie w kabałę.

— A dlaczego była zaległość — groźnie zapytał pan Pienoczkin? Dlatego, że pić lubisz? po szynkach się włóczysz? Znam ja was, pilibyście tylko i na piecach leżeli, a porządny chłop musi za was odpowiadać.

— I grubijanin także — wtrącił burmistrz.

— No, to ma się rozumieć, zawsze tak bywa, ja już to nieraz zauważyłem; cały rok hula, nie szanuje nikogo, a potem do nóg upada.

— Ojciec Arkadyuszu Pawłowiczu — z rozpaczą rzekł chłop — zmiłuj się, broń mię; jakież ja grubijanin? Jak przed Bogiem mówię, już siły nie starczy, nie lubi mnie Sofron Jakowlicz; za co, niech go Bóg sędzi, gubi mnie i niszczy i teraz oto ostatniego syna, i tego... (po żółtych i zmarszczonych policzkach starca popłynęły łzy) zmiłuj się panie, ratuj!

— I nie nas tylko — zaczął młody chłop.

Arkadyusz Pawłowicz nagle wybuchnął:

— A ciebie kto pyta? Nie pytają cię, to milcz. Co to jest? Milczeć, mówię ci, milczeć! Ależ to bunt! Nie, bracie, nie radzę ci się buntować, nie radzę. (Arkadyusz Pawłowicz zrobił krok naprzód, lecz za-

pewne przypomniał sobie o mojej obecności). Je vous demande pardon, mon cher — rzekł z wymuszonym uśmiechem, zniżywszy znacznie głos. C'est le mauvais côté de la médaille. No dobrze, dobrze — rzekł, nie patrząc na chłopów, ja każę... możecie odejść (chłopi nie ruszyli się); no, przecież powiedziałem wam, że dobrze, idźcież sobie, a ja każę to rozpatrzyć.

Arkadyusz Pawłowicz odwrócił się od nich.

— Wieczne niezadowolenia — rzekł przez zęby i szybkimi krokami poszedł do domu.

Sofron udał się za nim, starosta wystraszył kaczki z kałuży; chłopci stali jeszcze przez czas jakiś na tem samem miejscu, popatrzyli jeden na drugiego i nie oglądając się, powlekli się w swoją stronę,

W dwie godziny później byłem w Riabowie, i razem z Anpadistem, znajomym chłopem, wybiebrałem się na polowanie. Do samego mego odjazdu Pienoczkin krzywił się na Sofrona.

Zacząłem z Anpadistem rozmowę o włościach szypilowskich, o panu Pienoczkinie, zapytałem, czy nie zna tamtejszego burmistrza.

— Sofrona? jeszczeby też!

— A cóż to za człowiek?

— Pies, nie człowiek. Takiego psa do samego Kurska nie znajdzie.

— A cóż?

— Przecież Szypilówka to tylko niby należy do Pienoczkina, właściwie Sofron ją posiada.

— Czy być może?

— Rządzi jak swoją własnością. Chłopi prawie wszyscy są mu dłużni; pracują na niego, jak parobcy; posyła ich z dostawami, wszędzie.

— Ziemi, zdaje się, że mają niewiele...

— Niewiele? On u jednych Chłynowskich osiemdziesiąt dziesięcin dzierżawi, u naszych sto dwadzieścia, a przecież nie z samego tylko gospodarstwa ma dochody: on i końmi handluje, i olejem, i konopiami i Bóg wie czem; mądry on, bardzo mądry i bogaty, bestya; ale zwierzę nie człowiek, powiedziałem—pies.

— Dlaczegoż się na niego nie skarżą?

— A cóż to obchodzi właściciela? zaległości niema, to dosyć. A zresztą, dodał po krótkim milczeniu, niechnoby się kto spróbował poskarżyć, miałby od niego!

Przypomniałem sobie Antypa i opowiedziałem, com widział.

— No — rzekł — Anpadist, teraz już on go całkiem zagryzie, a starosta go zameczy. Biedaczysko, i za co cierpi? Na zebraniu poróżnił się z nim, z burmistrzem, wielka rzecz, a teraz on go, burmistrz, zaczął dziobać i zadziobie. Wie on, na kogo napadać, bogatszych gospodarzy nie rusza, łysy dyabeł, a tu sobie pozwala; on to synów Antypa, chociaż kolei nie było, do wojska oddał, gałgan nielitościwy, pies, przebacz, Panie, grzechy moje.

Poszliśmy na polowanie.

III.

Żywe relikwie.

Francuskie przysłowie mówi: suchy rybak i mokry myśliwy mają smutne miny. Nie byłem nigdy amatorem rybołówstwa i nie mogę sądzić o tem, co doświadcza rybak podczas pięknej pogody i o ile podczas deszczu, przyjemność obfitej zdobyczy przeważa w jego oczach nieprzyjemność zmoknięcia, ale dla myśliwego deszcz, to prawdziwe nieszczęście; takie właśnie dotknęło mnie i Jermołaja podczas wyćieczki na cietrzewie, do powiatu Bielewskiego.

Od samego świtu deszcz nie ustawał.

Czegośmy też nie wyrabiali, żeby się przed nim uchronić! I. płaszczyki gumowe naciągaliśmy niemal na głowy i stawialiśmy pod drzewami, żeby mniej kapalo. Nieprzemakalne płaszcze, nie mówiąc już o tem, że przeszkadzały strzelać, przepuszczały wodę w sposób bezwstydy; pod drzewami zaś, rzeczywiście w pierwszych chwilach, jakby nie kapalo, lecz potem nagle woda, nagromadzona na liściach, utrzymać się nie mogła; każda gałązka oblewała nas jak

rynna, chłodny strumień dostawał się pod halsztuk i ściekał po plecach.

— A, to już ostatnia rzecz—mówił Jermolaj—nie, tak nie można... nie można dziś polować, psom „czucie“ zalewa, broń zamaka.

— Cóż robić? — zapytałem.

— A cóż, pojedziem do Aleksiejówki; może pan nie wie—rzekł—jest taki mały futorek, należy do pańskiej matki, ztąd ośm wiorst, tam przenocujemy, a jutro...

— Powrócimy tutaj?

— Nie, nie tutaj, za Aleksiejówką znam ja miejsca doskonale na cietrzewie.

Nie dopytywałem mojego wiernego towarzysza, dlaczego nie zaprowadził mnie od razu do tych miejsc lepszych i tegoż samego dnia dostaliśmy się do futuru mej matki, którego istnienia, wyznam szczerze, nie domyślałem się nawet. Znalazł się tam domek, bardzo stary, ale niezamieszkały i czysty, w nim przeżyłem noc spokojnie.

Następnego dnia obudziłem się bardzo rano, słońce tylko co weszło, na niebie nie było ani jednej chmurki, wszystko dokoła błyszczało silnym podwójnym blaskiem: blaskiem porannych promieni i wczorajszej ulewy. Kiedy zaprzęgano do bryczki, wszedłem do niewielkiego ogródka, niegdyś owocowego, teraz zdziczałego zupełnie, który ze wszech stron otaczał domek zwartą, gęstą zielenią. Ach! jakże mi było dobrze na wolnym powietrzu, pod jasnym niebem, gdzie się trzepotały skowronki, sypiąc drobne perełki dźwięcznych nut. Na swych skrzydełkach unosiły one zapewne krople rosy i dlatego ich piosnki wyda-

waly się jakby zroszone. Zdjąłem czapkę z głowy i oddychałem radośnie, pełną piersią. Na pochyłości niewielkiego wąwozu, przy samym płocie, widać było pasiekę; wiodła do niej wąziutka ścieżka, wijąca się jak wąż, pomiędzy zwartymi ścianami burzanów i pokrzywy, nad którymi wyskakiwały wysokie łodygi konopi, nie wiadomo, jaką drogą tu przyniesione. Idąc po ścieżce, doszedłem do pasieki; obok niej wznosiła się stodółka chruściana, tak zwany stebnik, gdzie stawiają ule na zimę. Zajrzałem przez wpół-otwarte drzwi: ciemno, cicho, sucho, pachnie miętą i melisą. W kącie tapczan, a na nim przykryta koldrą, jakaś mała figurka.

Chciałem odejść.

— Panie, panie, Piotrze Piotrowiczu, dał się słyszeć głos słaby, jak szelest trzciny.

Zatrzymałem się.

— Piotrze Piotrowiczu, zechciejcie się zbliżyć, panie, powtórzył ten sam głos z kąta, z tapczanu.

Zbliżyłem się i osłupiałem ze zdziwienia, przedemną leżała żywa istota ludzka, ale co to było?

Głowa zupełnie wyschła, jednobarwna, brązowa, jak starożytny obraz; nos wązki, jak ostrze noża, warg prawie nie widać, tylko zęby bieleją i oczy, a z pod chustki spadają na czoło pasma żółtych włosów.

Przy podbródki, na koldrze, ruszają się powoli, przebierając palcami, jak paleczkami, dwie maleńkie ręce, również brązowego koloru. Przypatrzyłem się bliżej: twarz była nie tylko nie brzydka, ale nawet piękna, tylko straszna, niezwykła i tem straszniejsza wydała mi się jeszcze, że na niej, na metalicznych

jej szczękach usiłuje zarysować się uśmiech i na żaden sposób nie może.

— Pan mnie nie poznaje, panie? Bo i jakżeż poznać? Ja jestem Lukerya, ta sama, com u matki pana, we wsi, korowody urządzała, pierwszy głos miała w chórze.

— Lukerya? zawolałem, czyż to ty istotnie, czy to być może?

— Tak panie, to ja.

Nie wiedziałem co powiedzieć; patrzyłem na tę twarz niemą, nieruchomą, ze zwróconemi na mnie jasnymi i jakby martwemi oczami.

Czy to być może? Ta mumia to ma być Lukerya, pierwsza piękność w całej naszej wiosce, wysoka, pełna, biała, rumiana, śmieszka, tanecznicza, śpiewaczka; ta sama, do której zalecała się cała młodzież wiejska, do której wzdychałem i ja, szesnastoletni dzieciak!

— Zmiłuj się, rzekłem, co się z tobą zrobiło?

— A taka bieda na mnie spadła, ale nie pogardź pan mojem nieszczęściem, usiądź tutaj na kadce, bliżej, żebyś mnie mógł usłyszeć; taki teraz mam głos... Jakże szczęśliwa jestem, że pana widzę. Jak pan tu do nas trafił?

Mówiła głosem cichym i słabym, lecz bez przerwy.

— Jermołaj, myśliwy, przyprowadził mnie tutaj, ale opowiedz mi...

— O mojej biedzie, o mojem nieszczęściu opowiedzieć, owszem, panie. Spotkało już ono mnie dawno, sześć albo siedem lat temu. Mnie wtenczas tylko co zaręczono z Wasilem Polakowym, pamięta

pan, taki był postawny, kędzierzawy, za kredensowego u matki pańskiej służył. Pana już wtenczas we wsi nie było, pojechałeś się uczyć do Moskwy. Bardzośmy się kochali z Wasilem, z głowy mi nie wychodził. Było to na wiosnę. Jednego razu w nocy... już i niedaleko do świtu, a ja jakoś spać nie mogę... słowik śpiewa w ogrodzie do zadziwienia słodko! Nie wytrzymałam, wstałam i wyszłam na ganek posłuchać... Śpiewa, śpiewa... i nagle przywidziało mi się, że mnie ktoś woła, tak jakby jego głosem, Wasila; spojrzałam na bok, i tak jakoś, widąc, z rozespiania, źle stąpiłam; upadłam z kilku schodków na ziemię i, zdaje się, nie rozbiłam się zbyt mocno, skoro mogłam wstać i wrócić do siebie do pokoju. Tylko zdawało mi się, że coś we mnie, we środku, we wnętrzościach oberwało się. Pozwól pan trochę powietrza złapać... minutkę...

Zamilkła, a ja ze zdziwieniem patrzyłem na nią.

To mnie szczególnie uderzyło, że opowiadanie jej było prawie wesołe, bez jęków i westchnień, bez starania się, by wzbudzić współczucie.

— Otóż od tego wypadku—ciągnęła dalej—za częłam ja schnąć, chudnąć, czernieć; coraz trudniej było mi chodzić, a później straciłam zupełnie władzę w nogach, że ani chodzić, ani siedzieć, tyłkobym ciągle leżała. Nie miałam chęci do jedzenia, ani do picia, ciągle gorzej i gorzej. Mama pańska, w dobroci swej, pokazywała mnie lekarzom, posyłała do szpitala, jednak polepszenia ani trochę nie było i ani jeden lekarz nie mógł powiedzieć, jaka to jest właściwie choroba. Co oni ze mną wyrabiali! Rozpalonem do białości żelazem przypiekali plecy, wsadzali w wo-

dę z lodem—i na nic. Zupełnie skostniałam pod kocem. Otóż i zdecydowali doktorzy, że leczyć mnie dłużej nie ma co, a w pańskim domu dla kalek nie ma miejsca, więc odesłali mnie tutaj, bo i krewnych tu mam. I oto, jak pan widzi, żyję. Znów zamilkła i usiłowała uśmiechnąć się.

— Jednak twoje położenie jest okropne—zawołałam — i nie wiedząc, co dodać, zapytałam: A cóż Wasili? Było to bardzo głupie pytanie.

— Cóż? potęksnił, potęksnił i ożenił się z inną, z dziewczyną z Glinnego. Bardzo on mnie kocha, ale cóż, człowiek młody, nie może przecież zostać kawalerem. I jakąż ja bym mogła być towarzyszką dla niego? Znalazł sobie żonę ładną, dobrą, mają dzieci... Jest tu w obowiązku w sąsiedztwie i, Bogu dzięki, jest mu bardzo dobrze.

— A ty tu ciągle leżysz?—zapytałam.

— A tak, panie, leżę już siódmy rok. Latem leżę tutaj, w tej stodółce, a jak nastaje zimno, przenoszą mnie do izby przy łaźni.

— A ktoś cię pielęgnuje, kto dogląda?

— Dobrzy ludzie są, nie opuszczają mnie. Zreztą wielkiego pielęgnowania ja nie potrzebuję; jeść, to prawie nic nie jadam, a wodę przynoszą w tym garnuszku, codziennie świeżą, źródlaną wodę. Garnuszek sama sobie przyciągnę, bo jeszcze w jednej ręce mam trochę władzy. Jest tu i dziewczynka, sierotka, czasem zajrzy, niech jej Pan Bóg da zdrowie, tylko co wyszła ztąd, nie spotkał jej pan? Bardzo ładna, bieluchna, ona mi kwiaty przynosi, a ja bardzo lubię kwiaty. Ogrodowych tu nie ma, ale i polne piękne,

pachną milej niż ogrodowe, cboćby, na przykład, konwalie...

— I nie smutno ci, nie przykro, biedaczko?

— A cóż mam robić? Kłamać nie chcę; z początku mi było bardzo przykro, potem przyzwyczaiłam się do cierpienia. Innym bywa jeszcze gorzej na świecie.

— A to jakim sposobem?

— Niektórzy nie mają schronienia, nie mają wzroku, lub słuchu, a ja widzę doskonale, i słyszę wszystko, wszystko: jak kret w ziemi kopie, to słyszę. I zapach każdy poczuje, choćby najślabszy; czy tatarka na polu zakwitnie, czy lipa w ogrodzie, mnie o tem mówić nie trzeba; ja czuję, aby tylko wietrzyk z tamtej strony pociągnął. Nie, panie, dlaczegoż Boga obrażać, wielu ludziom gorzej bywa! Choćby, na przykład, człowiek zdrów bardzo łatwo może zgrzeszyć, a odemnie już i grzech odstąpił. Niedawno ojciec Aleksy, nasz proboszcz, komunikował mnie i powiada: „Ciebie nie ma potrzeby spowiadać, co ty w twojem położeniu możesz zgrzeszyć?“—A ja rzekłam: Myślą zgrzeszyć można. On roześmiał się:—To grzech niewielki...

— I rzeczywiście, ja myślą grzeszę niewiele, dlatego, żem się nauczyła nie myśleć i nie wspominać, czas prędzej przechodzi.

Zdziwilem się.

— Jakżeż ty możesz przeszkodzić, żeby myśli nie przychodziły do głowy? Chyba ciągle śpisz?

— O nie, panie, spać nie zawsze ja mogę. Choć nie doznaję wielkich bólów, ale mnie śmi wewnątrz i po kościach i nie daje spać, jak należy.

Nie—ja tak oto... leżę i nie myślę, czuję, że żyję, że oddycham, patrzę, słucham.

Pszczoly w pasiece brzęczą, gołąb na dachu siądzie i grucha, kokosz z kurczętami przyjdzie szukać okruszyn; czasem wpadnie tu wróbel, albo motyl, to wszystko bardzo mile. W poprzednim roku nawet jaskółki, tam w kacie, zrobiły sobie gniazdo: jakie to było zajmujące. Jedna przypadnie do gniazda, nakarmi pisklęta i już jej niema. W tej chwili druga przylatuje na zmianę... czasem nie wleci do środka, tylko koło otwartych drzwi się mignie, a pisklęta zaraz piszczą, dzioby otwierają. Spodzie wałam się tych jaskółek na drugi rok, ale podobno jakiś myśliwy zastrzelił je z fuzyi. Ach! jacyście wy niedobrzy, panowie myśliwi!

— Ja do jaskółek nie strzelam — rzekłem.

— A jednego razu — zaczęła znów chora — jakie to było śmieszne! Zając wpadł tutaj! Wprost do tej chruścianki.—Psy za nim goniły, czy co, i wpadł tu wprost drzwiami. Usiadł bliźutko i siedział dość długo, a ciągle nosem kręcił i wąsami ruszał, jak prawdziwy oficer. I na mnie patrzył. Rozumiał wi dać, że ja dla niego nie straszna. Nareszcie wstał, kic, kic, przyskoczył do drzwi, przysiadł, obejrzał się na progu—i uciekł. Taki śmieszny!

Spojrzała na mnie, jakby chcąc zapytać: czy to nie zabawne? Roześmiałem się, chcąc jej zrobić przyjemność.

— W zimie—mówiła dalej—jest mi gorzej, dlatego, że ciemno; świecę palić, szkoda, zresztą na cóż? Chociaż ja piśmienna jestem i zawsze czytać lubiłam; ale co czytać? książek niema tutaj, a choćby i były,

w rękachbym nie mogła utrzymać. Raz ojciec Aleksy przyniósł mi kalendarz dla rozrywki, lecz zobaczywszy, że nie mogę mieć z niego pożytku, zabrał napowrót. Jednak chociaż ciemno i nic nie widzę, mogę słyszeć: świerszcz ćwierka, lub mysz skrobie ząbkami. Otóż wtedy to dobrze nie myśleć.

— Modlitwy odmawiam—ciągnęła znów po krótkiej przerwie — tylko, że niewiele ich umiem. Na co mam się naprzykrzać Panu Bogu? O co mogę go prosić? On najlepiej wie, co mi trzeba. Zesłał na mnie krzyż ciężki, to dowód, że mnie miłuje. Tak nam to kazano rozumieć. Odmówię Ojcie nasz, Zdrowaś Marya, modlitwę za cierpiących i znów leżę spokojnie, nie myśląc. No—i nic.

Przeszło ze dwie minuty. Nie przerywałem milczenia, nie poruszyłem się na beczulce, służącej mi za siedzenie. Twarda, kamienna nieruchomość leżącej przedemną żywej nieszczęsnej istoty udzieliła się i mnie. Byłem jak odrętwiały.

— Słuchaj, Lukeryo—rzekłem nareszcie—chciałbym ci dopomóc. Jeżeli chcesz, postaram się, aby cię zawieziono do szpitala, do dobrego szpitala, w mieście, kto wie, może cię tam wyleczą... W każdym razie nie będziesz sama...

— O nie, nie, panie — szepnęła głosem pełnym obawy—nie odsyłajcie mnie do szpitala, nie ruszajcie ztąd! Tam będę miała tylko męczarnie... Po co mnie leczyć?! Jednego razu przyjeżdżał tu jakiś doktor, chciał mnie oglądać. Proszę go:—Nie rusz mnie pan, na miłość Boga. Ale gdzieżtam! Zaczął mnie przewracać, ręce i nogi zginał, wyciągał i powiada:—Ja to dla uczoności robię... na to jestem urzędnik, uczo-

ny. I ty nie możesz mi się sprzeciwić, dlatego, że mnie, za moją pracę, dany jest order na szyję, że ja się dla was, głupców, poświęcam. Potarmościł mnie, potarmościł, powiedział, jak się moja choroba nazywa—mądrze jakoś—i odjechał. A mnie przez tydzień później wszystkie kosteczki bolały... Pan mówi, że jestem zawsze sama, sama jedna. Nie panie, nie zawsze. Przychodzą do mnie. Ja spokojna, nie przeszkadzam nikomu. Czasem przyjdą dziewczyny ze wsi, pogwarzą; czasem wstąpi jaka pątnica i zacznie opowiadać o Jerozolimie, o Kijowie i różnych świętych miastach. Zresztą mnie nie straszno być samej, wolę nawet. Nie ruszcie mnie, panie, nie woźcie do szpitala.

— Jak chcesz, moja kochana, ja tylko twoje dobro miałem na myśli.

— Wiem, panie, że moje dobro, lecz kto pomódz może innemu, kto zajrzy mu w duszę; najlepiej niech każdy sam sobie pomaga. Oto nie uwierzy pan, ja tu leżę nieraz sama i czasem zdaje mi się, że na całym świecie niema nikogo, prócz mnie, tylko ja sama jedna żyjąca. Wpadam nieraz w rozmyślanie, częstokroć zadziwiające.

— O czemże ty rozmyślasz?

— Tego panie nie można opowiedzieć i trudno wytłómaczyć. Zresztą zapominam później. Przyjdzie to jak chmurka, przesunie się, zrobi się chłodno, dobrze, a co to było, trudno zrozumieć; i myślę wówczas, że gdyby koło mnie byli ludzie, to nie czułabym nic podobnego i nie widziałabym nic, oprócz swego nieszczęścia.

Westchnęła z trudnością; pierś była jej tak samo nieposłuszna, jak i inne członki.

— Gdy patrzę na pana—zaczęła znowu—widzę, że pan mnie bardzo żaluje. A niema czego zbyt żalować, oto na przykład powiem panu, że ja czasem i teraz... wszak pamięta pan, jaka byłam niegdyś wesółą... ja i teraz jeszcze piosnki śpiewam.

— Śpiewasz, ty!

— Tak, śpiewam, różne stare piosnki. Wiele ich umiałam i nie zapomniałam. Tylko tanecznych pieśni nie śpiewam; w obecnem mojem położeniu nie godzi się.

— Jakżeż ty tak śpiewasz—w duchu?

— I w duchu i głosem. Głośno nie mogę, a jednak śpiewam. Mówiłam panu, że tu przychodzi do mnie dziewczynka. Sierotka, bardzo pojętna. Oto ją ją nauczyłam; cztery piosnki już umie, nie wierzy pan... ja zaraz...

Zebrała siły. Myśl, że ta nawpół umarła istota zamierza śpiewać, wzbudziła we mnie pomimowolny przestach, lecz zanim mogłem wymówić jeden wyraz, w uszach moich zadrgał przeciągły, ledwie dający się dosłyszeć, ale czysty i pewny dźwięk, za nim nastąpił drugi—trzeci. Śpiewała, nie zmieniawszy wyrazu swojej skamieniałej twarzy, ani oczu. Dziwnie dźwięczał ten biedny, wysiłony, kołyszący się, niby obłoczek dymu, głosik. Zdawało się, że całą duszę chce w nim wylać. Już nie doznawałem przerażenia, ale jakiś żal niewypowiedziany ścisnął mi serce.

— O! nie mogę — rzekła nagle — siły już nie mam! tak się ucieszyłam, zobaczywszy pana.

Zamknęła oczy.

Położyłem rękę na jej drobnych, chłodnych palcach. Jej ciemne powieki, okolone jasnymi rzęsami, jak u starożytnych posągów, znowuż opadły... Po chwili błysnęły w półmroku: zmoczyła je łza.

Nie ruszałem się z miejsca.

— Jakaż ja jestem — rzekła nagle chora z nie spodziewaną siłą — i otworzywszy oczy szeroko, usiłowała wyrzucić z nich łzę; czyż nie wstyd, dawno już nie zdarzyło mi się nic podobnego, od tego samego dnia, kiedy Wasil przyszedł mnie odwiedzić. Dopóki siedział ze mną i rozmawiał, to nic, ale jak odszedł, zapłakałam w samotności — z kąd się łzy brały?... przecież dla kobiety łez nie kupić. Pannie — dodała — może pan ma chustkę, niech pan nie wzgardzi i obetrze mi oczy.

Pośpieszyłem spełnić jej życzenie i zostawiłem jej chustkę; z początku nie chciała: „po co mi taki podarunek?” — chustka była zwykła, ale biała i czysta — potem wzięła ją w swoje słabe palce i trzymała przy sobie. Oswoiwszy się z ciemnością, w której znajdowaliśmy się, mogłem wyraźnie widzieć rysy jej twarzy, mogłem nawet zauważyć delikatny rumieniec, przebijający się przez brązową jej cerę, mogłem odnajdywać w tej twarzy (tak mi się przynajmniej zdawało) ślady jej dawnej piękności.

— Zapytywał mnie pan — rzekła znów — czy mogę spać: rzeczywiście spiam rzadko, ale za każdym razem mam sny, częstokroć bardzo piękne, w tych snach nie widzę się nigdy chorą, lecz zawsze zdrową i młodą. Raz mi się przysnił sen cudowny,

jeżeli pan chce, to opowiem, proszę posłuchać: Śnię, że stoję na polu, a dookoła mnie żyto, takie wysokie, dojrzałe, jak złote. I kręci się koło mnie piesek kasztanowaty, zły, bardzo zły i chce mnie ukąsić. I zdaje mi się, że w rękach mam sierp, ale nie zwyczajny, tylko taki, jak księżyc, kiedy bywa do sierpa podobny. I oto tym księżycem mam zżąć wszystko żyto dookoła. Ale upał bardzo mnie zmęczył i księżyc ołśnił; lenistwo napadło, a dookoła rosły blawatki, takie piękne i duże. I wszystkie do mnie zwracały się główkami, a ja myślę sobie, narwę tych blawatków; Wasil obiecał przyjść, więc uwiję sobie wianek, a żyto zerznę później. Zaczynam rwać blawatki, a te mi topnieją między palcami i rób co chcesz! Nie mogę uwić wianka, a tymczasem słyszę, że ktoś idzie ku mnie i woła po imieniu. O! myślę sobie: źle, nie zdążyłam, ale to nic, zamiast blawatków, włożę sobie na głowę ten księżyc... Włożyłam księżyc i naraz tak zajaśniałam, że oświeciłam całe pole.

Patrząc, po samych wierzchołkach kłosów idzie do mnie szybko, nie Wasil, ale Chrystus; poczem po znalazłam, że to Chrystus, nie wiem, nie malują go takim, a jednak to on był. Bez brody, wysoki, młody, cały odziany biało; tylko miał pas złoty na sobie, rękę do mnie wyciągnął: „Nie bój się — rzecze, idź za mną, będziesz w królestwie niebieskiem u mnie korowody prowadziła i pieśni śpiewała rajske“. Do jego ręki przypadłam, a ów piesek zaraz mnie za nogi. Wzniesliśmy się w górę... on naprzód; jego skrzydła rozwinęły się na całe niebo, długie, jak u czajki, a ja za nim, i piesek musiał się odemnie odczepić.

Zrozumiałam, że ten piesek to moja choroba i że w królestwie niebieskiem już mnie prześladować nie będzie.

Umilkła na chwilę.

— I jeszcze miałam jeden sen—zaczęła na nowo—a może to było widzenie, nie wiem; zdawało mi się, że leżę tu, w tej samej budzie chruścianej i przychodzą do mnie moi nieżyjący rodzice: ojciec i matka; kłaniają mi się nisko i nie mówią nic. I pytam ich: dlaczegoż wy, ojczy, matko, kłaniamie się mi? „A dlatego, odpowiadają, że ty na tym świecie bardzo się męczysz, to nietylko swojej duszy ulgę przynosisz, ale i z nas wielki ciężar zdejmujesz—i nam na tamtym świecie daleko lżej teraz : swoje grzechy już odpokutowałaś, teraz za nasze cierpisz”—i rzekłszy to, rodzice znów mi się uklonili nisko i zniknęli. Długo potem rozmyślałam nad tem, coby to być mogło, nawet ojcu duchownemu o tem opowiadałam, ale on przypuszczał, że to nie było widzenie, widzenia bowiem miewają tylko osoby duchownej rangi.

— A oto jeszcze miałam jeden sen: zdawało mi się, że siedzę na wielkim gościńcu, w ręku mam laskę ostruganą, a na plecach tłumoczek, chusteczka na głowie, zupełnie jak pątnica, i mam iść gdzieś daleko, daleko, na pielgrzymkę i przechodzą koło mnie różni pielgrzymi, idą powoli, jakby niechętnie, wszyscy w jedną stronę. I widzę, kręci się wśród nich jedna kobieta, o całą głowę wyższa od innych i twarz ma jakąś szczególną, smutną, surową, a ubranie dziwne, nie nasze, nie ruskie. Wszyscy odwracają się od niej, a ona idzie wprost ku mnie.

Zatrzymała się i patrzy, a oczy ma jak sokół: żółte, wielkie i nadzwyczaj jasne. I zapytałam jej, kto jesteś? a ona odrzekła: „Jestem twoja śmierć“. Nie zlekłam się, lecz przeciwnie, byłam bardzo rada, przeżegnałam się — i rzekła do mnie ta kobieta, moja śmierć:—„Żal mi cię bardzo, Lukeryo, ale cię zabrać z sobą nie mogę. Żegnam cię“. Boże! jakże mi się zrobiło smutno. Weź mnie, wołam, weź, na wszystko cię proszę, a ona obróciła się do mnie i zaczęła coś mówić; rozumiałam, że naznacza mi moją godzinę, ale tak jakoś niezrozumiale, niejasno, po świętym Piotrze. Obudziłam się. Takie to miewam sny dziwne.

Zamyśliła się.

— To tylko, panie, nieszczęście, że czasem cały tydzień przejdzie, a ja zasnąć nie mogę. W roku zeszyłym przejeżdżała tędy jedna pani, zobaczyła mnie i dała mi flaszeczkę z lekarstwem na bezsenność, po dziesięć kropli kazała brać. Bardzo mi pomagało, spałam po tem lekarstwie, ale już dawno wyszło. Czy nie wie pan, co to za lekarstwo i gdzie go można dostać?

Przejeżdżająca pani widocznie dała jej opium. Obiecałam dostarczyć jej flaszkę takiego lekarstwa i głośno użalałam nad jej cierpieniem.

— Panie—rzekła—cóż to znów za cierpienie? Oto na przykład cierpienie Szymona Słupnika było większe: on przez trzydzieści lat stał na słupie. A inny mąż Boży kazał się w ziemię zakopać po same piersi i mrówki jadły oblicze jego... A to znów opowiadał mi jeden człowiek czytany, że był pewien kraj i ten kraj zawojowali Agaryanie i wszystkich mie-

szkańców męczyli i zabijali, a ci mieszkańcy na żaden sposób oswobodzić się nie mogli. I zjawiła się między tymi mieszkańcami dziewica święta, wzięła miecz wielki, włożyła na się zbroję dwupudową, uderzyła na Agaryan i wygnała ich precz, za morze. A wypędziwszy ich, rzekła do nich: „Teraz wy mnie spalicie; albowiem taki był mój ślub, że śmiercią ognistą za swój naród padnę. I Agaryanie wzięli ją i spalili a naród oswobodził się na zawsze. O! to cierpienie, to zasługa! a ja cóż?

Zadziwiłem się w duchu, dokąd i w jakim kształcie zaszła legenda o Joannie d'Arc. I po chwili milczenia spytałem Lukeryę, ile ma lat?

— Dwadzieścia osiem, może dziewięć, ale trzydziestu nie mam—lecz poco tam lata liczyć. Ja panu jeszcze coś powiem.

Kaslnęła jakoś glucho, jęknęła.

— Ty za wiele mówisz—zauważyłem—może ci to zaszkodzić.

— Prawda—szepnęła—ale co tam, teraz jak pan odjedzie, namilczę się do syta; przynajmniej wypowiedziałam, co mam na sercu.

Zacząłem się z nią żegnać. Powtórzyłem obietnicę, że przyślę jej lekarstwo i prosiłem, aby pomyślała dobrze i powiedziała szczerze, czy jej czego nie trzeba.

— Niczego mi nie trzeba, ze wszystkiego kontenta, chwała Bogu... niech Bóg da wszystkim zdrowie. A pan, paniczku, może pan swoją mamę uprosi; włościanie tutejsi bardzo biedni, żeby im trochę czynsz obniżyła... gruntu mają bardzo niewiele,

bieda; modliliby się za państwo—a mnie niczego nie potrzeba, z wszystkiemu kontenta.

Dałem słowo, że spełnię jej prośbę i chciałem wyjść. Zawołała mnie jeszcze.

— Pamięta pan—rzekła i jakiś dziwny wyraz zajaśniał w jej oczach i przemknął po ustach—pamięta pan, jaki miałam warkocz, do samych kolan, nie decydowałam się długo, takie włosy! lecz jakżeż je było czesać w mojem położeniu? a więc je obciąłam. No, niech pan już idzie, ja więcej mówić nie mogę.

Tegoż dnia, zanim pojechałem na polowanie, rozmawiałem o Lukeryi z miejscowym dziesiętnikiem. Dowiedziałem się od niego, że we wsi nazywają ją „żywymi relikwiami“, że zresztą nikt nie doznaje od niej niepokoju; nikt nie słyszy narzekań, ani skarg; sama niczego nie żąda, przeciwnie, za wszystko dziękuje. Trzeba przyznać, że jest cicha, bardzo cichutka. „Zabita przez Boga“,—zakonkludował dziesiętnik, zapewne za grzechy, lecz my w to nie wchodzimy. Żeby ją zaś potępiać... Nie, my jej nie potępiamy.

W kilka tygodni później dowiedziałem się, że Lukerya umarła, śmierć przyszła jednak po św. Piotrze. Opowiadano, że w dzień swego zgonu słyszała ciągle głos dzwonów, chociaż od Aleksiejówki do cerkwi liczy się pięć wiorst z górą i dzień był powszedni. Lukerya mówiła, że dźwięki szły nie od cerkwi, lecz z góry.

Prawdopodobnie nie śmiała powiedzieć, że... z nieba.

IV.

S t u k a !

— Melduję panu — rzekł Jermolaj, wchodząc do mnie, do izby—a właśnie tylko co zjadłem obiad i położyłem się, aby odpocząć nieco po dość pomyślnem, ale męczącym polowaniu na cietrzewie — melduję panu oto, że śrut nam wyszedł.

Zerwałem się z łóżka.

— Śrut wyszedł? A to jakim sposobem... przecież wzięliśmy z sobą z domu chyba ze trzydzieści funtów, cały worek!

— Tak, proszę pana, woreczek był spory, wystarczyłoby na dwa tygodnie. Kto może wiedzieć?! Może worek się przetaił, może co, dość, że śrutu nie ma... zostało zaledwie na dziesięć nabojów.

— Cóż teraz będziemy robili? Właśnie najlepsze miejsca tu są...

— A niech mnie pan pośle do Tuli. Niedaleko ztąd, raptem czterdzieści pięć wiorst wszystkiego. Duchem pojedę i przywiozę cały pud, jeżeli pan rozkaże.

— Kiedyż pojedziesz?

— Choćby zaraz. Na co odkładać? Tylko trzeba będzie konie wynająć.

— Jakto wynająć? Przecież mamy swoje.

— Swemi nie można. Środkowy, ten co w hoblach chodzi, zakulał.

— Kiedy znowu?

— Przed chwilą. Stangret zaprowadził go do podkucia, no, i widać kował gałgan, zakuł go. Teraz nie może stąpić na nogę. Przednia noga... Trzyma ją podniesioną, jak pies.

— Czy go rozkuli przynajmniej?

— Nie, nie rozkuli, a trzeba to zrobić koniecznie. Widocznie wbił mu gwóźdź w żywe mięso.

Kazałem zawołać stangreta. Pokazało się, że Jermolaj nie skłamał, koń rzeczywiście chodzić nie mógł. Polecilem, żeby go natychmiast rozkuli i postawili na wilgotnej glinie.

— No cóż? Każe pan nająć konie do Tuli?— zapytał znów Jermolaj.

— A czyż w tym zakazanym kacie można koni dostać? — zapytałem zirytowany.

Wioska, w której znajdowaliśmy się, leżała w ustroniu, mieszkańcy jej byli, jak się zdawało, biedacy — i z trudnością mogliśmy znaleźć izbę trochę obszerniejszą.

— Można — odrzekł Jermolaj z właściwym sobie spokojem.— Wioska jest taka, jak pan powiedział, ale mieszkał w niej niegdyś jeden chłop rozumny, bogaty! Dziewięć koni miał. Sam ów gospodarz umarł, a teraz najstarszy syn wszystkim rządzi. Chłop z głupich najgłupszy, jednak nie zdążył jeszcze roztrząść ojcowskiego mienia. Dostaniemy

koni od niego. Jeżeli pan każe, przyprowadzę go zaraz. Bracia jego, jak słychać, sprytni chłopcy... ale, bądź-co-bądź, on głowa.

— Dlaczegoż to tak?...

— Starszy, więc młodszy muszą go słuchać. Tu Jermolaj ostro i w sposób nie dający się w druk powtórzyć, odezwał się o młodszych braciach w ogóle... Ja go przyprowadzę do pana, to prostak. Z takim przecież potrafimy dojść do ładu.

Gdy Jermolaj poszedł sprowadzić prostaka, przyszło mi na myśl: czy nie lepiej będzie pojechać samemu do Tuły. Naprzód, nauczony doświadczeniem, nie bardzo mogłem ufać Jermolajowi; już raz posyłałem go po sprawunki, obiecał wykonać wszystkie me polecenia w ciągu jednego dnia, tymczasem przepadł na cały tydzień, pieniądze przepił, i powrócił pieszo, chociaż pojechał bryczką; powtóre miałem w Tule znajomego handlarza, od którego mógłbym kupić konia na miejsce tego, który zakulał.

— Pojadę sam — rzekłem w myśli — prześpię się w drodze, tembardziej, że tarantas wygodny.

— Przyprowadziłem! — zawołał po kwadransie Jermolaj, wpadając do izby. Za nim wszedł chłop wysoki, w białej koszuli, niebieskich spodniach i w łapciach, jasny blondyn, z przymrużonemi oczami, z rudawą bródką, klinowatą, długim, jakby spuchniętym nosem i otwartemi ustami. Rzeczywiście miał minę „prostaka“.

— Oto, proszę pana — rzekł Jermolaj — on konie ma i zgadza się.

— To jest... znaczy... ja — rzekł chłop głosem ochryplym, wstrząsając rzadkimi włosami i mnąc czapkę w rękę. — Ja znaczy...

— Jak się nazywasz? — spytałem.

Chłop zastanowił się.

— Jak się nazywam?

— Tak. Jak ci na imię?

— A imię moje: Filofej.

— Otóż, widzisz Filofeju, słyszałem, że masz konie. Przyprowadź — że tu trójkę, zaprzęgnij do mego tarantasa, jest on dość lekki, i zawieź mnie do Tuły. Teraz noc księżycowa, widna i chłodna. Jakaż droga?

— Droga? a droga... tak sobie. Jedno tylko jest miejsce nieładne, ale to nic.

— Cóż to za miejsce?

— A to przez rzeczkę przejeżdża się w bród.

— Czy to pan sam chce jechać do Tuły? — zapytał Jermolaj.

— Sam.

— No, no — mruknął mój wierny sługa — no, no — powtórzył, splunął i wyszedł.

Widocznie już wycieczka do Tuły nie wydawała mu się pojętną.

— Czy drogę znasz dobrze? — spytałem Filofeja.

— Jakżebym drogi nie znał! Tylko, znaczy, jak pan chce, nie mogę. Jakże tak nagle...

Pokazało się, że Jermolaj, wynajmując chłopą, oświadczył, że mu zapłacę i tyle... Chłop jednak, chociaż według zdania Jermolaja głupi, nie chciał po przestać na tem ogólnikowem oświadczeniu. Zażądał odemnie pięćdziesięciu rubli asygnacyjnych, cenę

ogromną... Ja obiecywałem mu dziesięć—cenę niską. Zaczęliśmy się targować; chłop z początku trzymał się mocno, później ustępował potrosze.

Jermolaj, który wszedł w tej chwili do izby, zaczął mnie zapewniać, że ten „głupiec“ niema pojęcia o rachowaniu pieniędzy i przy sposobności przypomniał mi, że dwadzieścia lat temu, zajazd postawiony przez moją matkę w punkcie, gdzie przecinały się dwie drogi — upadł całkiem, a to dlatego, że zarządzający starowina nie znał wartości pieniędzy i oceniał je tylko na ilość sztuk.

— Ach ty Filofeju! Filofeju! zawołał Jermolaj i wychodząc trzasnął drzwiami ze złości.

Zgodziliśmy się nareszcie na dwadzieścia rubli. Zaraz poszedł po konie i przyprowadził ich pięć—do wyboru. Konie były niezgorsze, choć grzywy i ogony miały popłatane, a brzuchy duże, nabite jak bębny. Z Filofejem przyszedł dwaj jego bracia, wcale do niego niepodobni.

Wyciągnęli oni tarantas z pod szopy i z półto-rej godziny marudzili przy nim i przy koniach, to rozpuszczali postronki, to przyciągali je tego. Obaj bracia chcieli koniecznie zaprządz w hołoble dropiatego, dlatego, że on może spuszczać z góry, lecz Filofej zdecydował: „kudłatego“, kudłatego więc zaprzęgnięto w hołoble.

Napełnili tarantas sianem, podsunęli pod siedzenie chomąto z kulawego konia, na wypadek gdybym nowego kupił w Tule. Filofej, który wpadł do domu i ubrał się w długą, białą kapotę po ojcu i w wysmarowane buty — uroczyście wgramolił się na kozioł.

Wsiadłem, spojrzawszy wpierw na zegarek, pokazywał kwadrans po dziesiątej.

Filofej szarpnął lejcam, krzyknął cieniutkim głosem: — Ej, wy, maleńkie! bracia jego przyskoczyli z obu stron, podcinając przyprężne konie pod brzuchy—i tarantas potoczył się, zawrócił z wrót na ulicę... Kudłaty chciał skrócić do domu, na podwórze, lecz Filofej wyperswadował mu to kilkoma uderzeniami batem—i oto wyjechaliśmy ze wsi i znaleźli się na dość równej drodze, ciągnącej się między zwartymi krzakami leszczyny.

Noc była piękna, cicha, doskonała do podróży. Wiatr figlował w krzakach, poruszał gałązki, to znów cichł, na niebie tu i owdzie widać było nieruchome, srebrzyste chmurki, księżyc wznosił się wysoko i oświeślał całą okolicę.

Rozciągnąłem się na sianie i już miałem usnąć, gdy przyszło mi na myśl „niedobre miejsce“.

— A co, Filofeju, spytałem, daleko do brodu?

— Do brodu? Będzie z ośm wiorst.

— Ośm wiorst, pomyślałem. Nie zajedziemy prędzej jak za godzinę. Usnąć więc można.

— Ty, Filofeju, znasz dobrze drogę? — zapytałem go znowu.

— Jakże drogi nie znać? Przecież nie pierwszy raz się jedzie.

Jeszcze coś mówił, lecz ja już nie słyszałem tego, usnąłem.

Obudził mnie właściwie nie zamiar obudzenia się za godzinę, jak to się zdarza, ale jakieś dziwne,

choć słabe chlapanie i bulgotanie pod samem mojem uchem. Podniosłem głowę...

Co się dzieje? Leżę w tarantasie jak przedtem, a dookoła tarantasa i nie więcej jak pół arszyna od jego brzegów gładka powierzchnia wody, oświetlona przez księżyc, drga i błyszczy maleńkimi srebrnymi zmarszczkami. Patrę przed siebie: na koźle, pochyliwszy głowę, zgarbiwszy plecy, siedzi jak manekin, Filofej, a jeszcze dalej, ponad błyszczącą wodą, krzywa linia duhy, dalej końskie głowy i grzbiety i wszystko tak nieruchome, tak ciche, jak gdyby w czarowanym królestwie, we śnie legendowym. Rzuciłem okiem po za siebie, ale znajdujemy się na środku rzeki, brzeg jest o trzydzieści kroków od nas!

— Filofej! zawolałem.

— Czego?

— Jakto czego? Zmilujże się człowieku, gdzież my jesteśmy?

— W rzece.

— Ja widzę, że w rzece. Ale my tu się zaraz utopimy. To ty tak wbród przejeżdżasz? Co! Ale ty śpisz, Filofeju, odpowiadajże!

— Troszeczkę się omylił, odpowiedział mój woźnica. Licho nadało, wziąłem się trochę w bok i teraz trzeba czekać.

— Jakto? poco czekać? Na co my tu będziemy czekali?

— A niech-no kudłaty wymiarkuje; w którą stronę on się zwróci, tam trzeba jechać.

Podniosłem się na siedzeniu, łeb kudłatego nie poruszał się nad wodą, tylko przy świetle księ-

życa zauważyć było można, że jedno jego ucho pochyla się cokolwieczek to naprzód, to w tył.

— Ależ on także śpi ten twój kudłaty!

— Nie — odpowiedział Filofej — on teraz obwachuje wodę.

I znowuż wszystko umilkło, tylko woda trochę szumiała, jak przedtem; ja również zdrętwiałem.

Światło księżyca, noc, rzeka, a my w niej.

— Co tak syczy? — spytałem Filofeja.

— Syczy? kaczęta w trzcinie, a może węże...

Nagle kudłaty łbem poruszył: zaczął strzydzi uszami, chrapnął.

— No, no, no! — zawołał na całe gardło Filofej, podniósł się i zaczął machać batem.

Tarantas ruszył się z miejsca, pod prąd, i posuwał się naprzód.

Z początku zdawało mi się, że pogrążamy się coraz bardziej, idziemy w głąb, lecz po chwili zauważyłem, że tarantas jakby wyrasta z wody: oto już się ukazały koła i końskie ogony, z pod kopyt bryzgają dyamenty — nie — nie dyamenty, raczej snopy szafirów; konie wyciągnęły nas na brzeg piaszczysty i poszły w drogę, pod górę.

— Co — pomyślałem sobie — powie teraz Filofej, miałem słusność, albo coś w tym rodzaju, ale on nic nie powiedział. Dlatego też i ja nie uważałem za właściwe wymawiać mu jego nieostrożności i rozciągawszy się na sianie, usiłowałem zasnąć.

Ale zasnąć nie mogłem. Nie dlatego, żebym nie był zmęczony po polowaniu i nie dlatego, że obawa

jakiej doświadczałem, spędziła sen z mych powiek, ale przejeżdżaliśmy przez bardzo piękne miejsce: były to przestronne, szerokie, żyzne łąki, z mnóstwem niewielkich jezior, strumyków, sadzawek, zarosłych po brzegach wierzbą i łozą: prawdziwie ruskie, przez lud ruski ulubione miejsca, podobne do tych, do których bohaterowie naszych legend dawnych jeździli polować na białe łabędzie i szare kaczki.

Jak żółta wstęga, ciągnęła się nasza droga, konie biegły lekko, a ja nie mogłem zmrużyć oczu, zachwycałem się! Nawet i Filofej doznawał jakiegoś wrażenia.

— Te oto łąki—mówił do mnie—nazywają się Święto-Jerskie, a za niemi, Wielkoksiażące będą—takich łąk w całej Rosji nie ma: oto nieza długo będą sianokosy, co tu siana nazbierają! A w jeziorach ryb mnóstwo: takie leszcze! Jednem słowem, żyć nie umierać.

Nagle wyciągnął rękę.

— O panie! niech-no pan patrzy, nad jeziorem, czy to czapla stoi? Czyż ona i po nocach ryby łowi? Nie, to nie czapla, to sęk, tom się dopiero oszukał, a to księżyc tak zwodzi.

I takeśmy jechali, jechali... Lecz oto już i kończą się piękne łąki: pokazały się gaje, pola uprawne; gdzieś tam, stroną, błysnęła wioska dwoma, trzema światłkami. Do głównej drogi pozostawało pięć wiorst wszystkiego.

Zasnąłem... I znów nie obudziłem się sam... Tym razem sen mój przerwał głos Filofeja.

— Panie, panie!

Podniosłem się: tarantas stał na równym miejscu, na środku wielkiej drogi. Obróciwszy się twarzą do mnie, szeroko otworzywszy oczy (aż mnie to zdziwiło, bom nie przypuszczał, żeby miał takie wielkie), szeptał do mnie w sposób znaczący i tajemniczy:

— Stuka, panie, stuka.

— Co ty mówisz?

— Mówię, że stuka, niech-no pan się nachyli i posłucha, słyszy pan?

Wysunąłem głowę z tarantasu, zatrzymałem oddech i rzeczywiście dał mi się słyszeć gdzieś daleko, daleko, słaby, przerywany stuk, jakby turkot tocących się kół.

— Słyszysz pan? — powtórzył Filofej.

— No tak — odpowiedziałem — jedzie jakiś ekwipaż.

— A! pan słyszy... O! — dzwonki—i świstanie także. Czy pan słyszy? Niech pan zdejmie czapkę, to będzie wyraźniej.

Czapki nie zdjąłem, lecz wytężyłem słuch.

— No tak, być może, ale cóż z tego?

Filofej zwrócił się twarzą do koni.

— Wóz jedzie lekki—rzekł, ściągając lejce—koła kute, to panie niedobrzy ludzie jadą: tu pod Tułą dokazują.

— Co za głupstwo! Dlaczego myślisz, że to już koniecznie mają być niedobrzy ludzie?

— Mówię prawdę, z dzwonkami i pustym wozem, któżby to był?

— A co, do Tuły jeszcze daleko?

— Jeszcze będzie piętnaście wiorst i ani jednej wsi przy drodze.

— No, to jedźże prędzej.

Filofej machnął batem i tarantas potoczył się dalej.

Chociaż nie dawałem wiary Filofejowi, lecz zasnąć już nie mogłem.

A cóż, jeżeli w samej rzeczy? Doznałem jakiegoś nieprzyjemnego uczucia. Usiadłem w tarantasie, —do tej pory leżałem—i zacząłem się rozglądać. Gdy spałem, delikatna mgła nadciągnęła, nie na ziemię, unosiła się ona nad ziemią; księżyc przez nią wydawał się jakby biała plama, patrzył jak przez dym;—dokoła była miejscowość płaska: pola, ciągle pola, gdzieś tam krzaczki, wawozy i znów pola: pusto, martwo, nawet przepiórka nie odezwała się nigdzie.

Jechaliśmy z pół godziny. Filofej machał ciągle batem i cmokał ustami, ale ani on, ani ja, nie mówiliśmy nic.

Wjechaliśmy na wzgórek. Filofej zatrzymał konie i rzekł:

— Stuka, panie, coraz głośniejsze stuka.

Ja znów wysunąłem się z tarantasu, a do mego ucha, teraz już zupełnie wyraźnie, chociaż, zdaleka, dochodził stuk kół, świstanie, brzęk dzwonek, a nawet tętent kopyt końskich. Zdawało mi się nawet, że słyszę śpiewy i śmiechy: nie było wątpliwości, że nieznajomi podróżni przybliżyli się do nas o wiorstę, a może nawet i o dwie.

Spojrzelśmy jeden na drugiego. Filofej zsunał czapkę na czoło i zaczął popędzać konie. Puścili się one galopem, lecz długo tak biedz nie mogły, wpadły znów w klus. — Filofej smagał je ciągle: trzeba było uciekać.

Nie mogłem sobie zdać sprawy, dlaczego na ten raz ja, który z początku nie podzielałem przypuszczeń Filofej, nagle nabrałem przekonania, że za nami jadą rzeczywiście ludzie niedobrzy... Wszak nie usłyszałem nic nowego, te same dzwonki, tenże turkot pustego wozu, to samo świstanie, a jednak już nie wątpiłem: Filofej nie mógł się mylić.

I oto znów przeszło dwadzieścia minut. Wciąż ostatnich z tych dwudziestu minut, oprócz turkotu i stuku własnego ekwipażu, słyszeliśmy wyraźnie stuk i turkot tamtego.

— Stań, Filofej! — rzekłem — wszystko jedno, jeden koniec.

Filofej wstrzymał konie, rade zapewne ze sposobności, że mogą odetchnąć. Tuż za naszymi plecami dzwonki brzęczą przeraźliwie, wóz grzmi, ludzie śpiwają i krzyczą, konie parskają i biją ziemię kopytami.

Dogonili!

— Bieda — rzekł półgłosem Filofej i nieśmiało, jakby niezdecydowany, zaczął popędzać konie — lecz w tej samej chwili coś się za nami zerwało, brzęknęło, jęknęło i wielka, szeroka telega, zaprzężona w trójkę podpalanych koni — nagle — jak wichler, ominęła nas, wyprzedziła i zaraz potoczyła się powoli, zagrządzając zupełnie drogę.

Przyznam się, że mnie strach ogarnął. Zacząłem się wpatrywać z wysiłkiem, przy niepewnym

światle księżycą, zasłoniętego przez mgłę. Na wozie przed nami wpół siedziało, wpół leżało, sześciu ludzi, w koszulach, w kapotach rozpiętych; dwaj nie mieli czapek na głowach. Ręce ich podnosiły się, padały, ciała trzęsły się: widoczna rzecz, pijani. Jedni wrzeszczeli, jeden świstał przeraźliwie i czysto, drugi kłął, na przodku siedział jakiś olbrzym w kozuchu i powozil. Jechali stępa, jakby nie zwracając na nas uwagi.

Co było robić? Wlekliśmy się za nimi też stępa, chcąc nie chcąc.

Przynajmniej czwartą część wiorsty jechaliśmy w ten sposób; oczekiwanie męczące... Ratować, bronić się, jakim sposobem!

Ich sześciu, a ja nie mam nawet laski. Zawrócić, to dogonią natychmiast. Przypomniał mi się wiersz Żukowskiego (gdzie mówi o zabójstwie feldmarszałka Kamińskiego):

„Ów straszny topór rozbójnika...”

a nie, to ścisną gardło brudnym postronkiem i do rowu! Możesz tam sobie rwać się, szarpać, jak zając w siodłach.

Żle!

A ci zaś ciągle jadą stępa i nie zwracają na nas uwagi.

— Filofej—szepnąłem—spróbójno, weź na prawo, omiń ich.

Filofej wziął się na prawo, oni także na prawo, przejechać nie sposób! Filofej spróbował na lewo, oni także na lewo, nie dadzą się ominąć...

Rozśmieli się nawet; widocznie nie chcą przepuścić.

— Napewno zbójcy — szepnął mi Filofej przez ramię.

— A na cóż oni czekają? — zapytałem go także szeptem.

— A oto tam przed nami, nad strumieniem jest mostek: oni nas tam... Oni zawsze tak, koło mostów. Nasza sprawa panie czysta — dodał z westchnieniem—wątpię, czy puszcza nas żywych. Im, bo o to głównie chodzi, żeby ślady zatrzeć. Jednego mi żal, panie: trójka moja przepadła i nie dostanie się braciom.

Byłbym się zdziwił, że Filofej w podobnej chwili może jeszcze myśleć o swoich koniach, lecz przyznam się, że ja sam nie o nim myślałem. Czy rzeczywiście zabiją? — myślałem w duchu.—Za cóż? Przecież oddam im wszystko, co mam przy sobie.

Zbliżaliśmy się do mostku, widać go było coraz wyraźniej.

Nagle dały się słyszeć głośnie krzyki, trójka przed nami zerwała się, popędziła cwałem i dobiegłszy do mostku, stanęła jak wryta.

Serce mi się ścisnęło.

— O bracie Filofaju — rzekłem — jedziemy na pewną śmierć. Przebac mi, ponieważ ja ciebie zgubiłem.

— Jakaż twoja wina, panie? Losu swego nikt nie uniknie. No, kudłaty, koniku mój wierny, rusz bracie naprzód, usłuż ostatni raz: wszystko jedno, Boże błogosław!

I puścił swoją trójkę kłusem.

Zaczęliśmy przybliżać się do mostku i do tej nieruchomej, groźnej telegi: na niej wszystko nagle

umilkło... Tak cicho zachowuje się szczupak, jastrząb, i każde zwierzę drapieżne, gdy przybliży się do niego ofiara.

I oto zrównaliśmy się z wozem.

Nagle olbrzym w kozuchu zeskoczył z niego i prosto do nas.

Filofej nie rzekł ani słowa, tylko ściągnął lejce; tarantas stanął.

Olbrzym położył obie ręce na drzwiczkach i zaczął mówić spokojnym, równym głosem, wyrażając się, jak robotnik fabryczny:

— Panie szanowny, powracamy z uczciwej zabawy, z godnego wesela; naszego pana młodego myśmy ożenili, jak należy ułożyli, chłopcyśmy wszyscy młodzi, głowy zapalone, wypilo się dość, a poprawić nie ma za co. Więc, czy nie będzie taka pańska łaska, czy nie raczy nam pan ofiarować odrobinę pieniążków, tak, żeby choć po miarce na jednego. Wypilibyśmy za pańskie zdrowie, wspomnieli pańską hojność, a jeżeli nie będzie pańskiej łaski, to, prosimy nie gniewać się na nas.

Co to jest, pomyślałem sobie, takie znęcanie się, żarty?

Olbrzym stał ciągle z pochyloną głową. W tej chwili księżyc wychylił się z po za mgły i oświecił jego twarz:

Uśmiechała się ona i ustami i oczami. Nie wiadać było na niej groźby.

— Z przyjemnością — rzekłem pośpiesznie. — Proszę, bardzo proszę—i dobywszy portmonetkę z kieszeni, wyjąłem dwa ruble srebrne, oto, jeżeli będzie dość...

— Bardzo dziękujemy — rzekł olbrzym i grube jego palce porwały w jednej chwili, nie całą portmonetkę, tylko te dwa ruble — bardzo dziękujemy.

Wstrząsnął włosami i pobiegł do wozu:

— Chłopcy — krzyknął — pan przejeżdżający ofiarował nam dwa ruble!

Zaczęli się śmiać na cały głos. Olbrzym wgramolił się na przód wozu.

— Zostańcie szczęśliwi!

Tyleśmy ich widzieli; konie szarpnęły, wóz zagrmiał po drodze, jeszcze raz mignął nam się na czarnym pasie, oddzielającym ziemię od nieba, i zniknął. I oto już ani turkotu, ani krzyku, ani dzwonek nie słychać.

Nastąpiła martwa cisza.

Nie zaraz przyszliśmy do siebie, ja i Filofej.

— Ach! ty dyable taki — rzekł on nakoniec — zdjął czapkę i zaczął się żegnać. Dziwny człowiek — dodał — i zwrócił się do mnie uradowany. Ej! maleńkie, ruszajcie się, będziecie całe, wszyscy będziemy cali. Wszakże to on powoził, on przejechać nie dawał.

Ja milczałem, lecz było mi jakoś dobrze na duszy. Będziemy cali, powtarzałem w myśli; rozciągnąłem się na sianie. Taniało się wykupili!

Wyrzuciłem sobie nawet, że wspominałem wiersz Żukowskiego. Nagle przyszła mi myśl do głowy.

— Filofej.

— Co?

— Czyś ty żonaty?

— Żonaty.

— A dzieci masz?

— Mam i dzieci.

— Dlaczegożeś ty o nich nie wspominał? Żałowałeś koni, a żony i dzieci nie?

— A czegoż ich żałować? Przecież oni nie do-
staliby się w ręce złoczyńcom. Ja ich cały czas trzy-
małem w rozumie i teraz ich trzymam...

Filofej zamilkł; może być, że dla tych dzieci Bóg
się nad nami zmiłował.

— A jeżeli to nie byli rozbójnicy?

— Kto to wie? W cudzą duszę wejść trudno.
Cudza dusza, wiadoma rzecz, ciemność. A z Bogiem
zawsze lepiej. Ja swoją rodzinę zawsze...—No, no,
maleńkie, z Bogiem!

Już rozwidniało się, gdyśmy dojeżdżali do Tuły.
Leżałem w półśnie.

— Panie — rzekł Filofej. — Niechno pan patrzy.
Oni tam stoją koło karczmy, to ich wóz.

Podniosłem głowę; rzeczywiście oni, wóz ich
i konie.

Na progu szynkowni ukazał się nagle znajomy
olbrzym w kożuchu.

— Panie — zawołał machając czapką — pańskie
pieniądze przepijamy. A co? — dodał zwracając się
do Filofeja. Co, stangrecie? Ja myślę, że byłeś tro-
chę w strachu!

— Nadzwyczaj wesoly człowiek — zauważył Fi-
lofej — gdyśmy już odjechali ze dwadzieścia sążni od
karczmy.

Przybyliśmy nareszcie do Tuły. Kupilem śrutu,
herbaty, wina i konia od handlarza, a w południe wy-
jechaliśmy z powrotem.

Przejeżdżając przez to miejsce, gdzie pierwszy
raz usłyszeliśmy stuk wozu, Filofej, który podpisał
sobie w Tule, stał się bardzo rozmowny, tak, że mi
nawet bajki opowiadał — przejeżdżając przez to miej-
sce, Filofej nagle się roześmiał.

— A pamięta pan, jak tu mówiłem: stuka,
stuka?

Wyraz ten wydał mu się ogromnie zabawnym.

Tegoż wieczoru powróciliśmy do wsi. Opo-
wiedziałem o swej przygodzie Jermolajowi. — Będąc
trzeźwym, nie wyraził żadnego współczucia, tylko
mruknął; z pochwałą, czy z wymówką, tego, jak
przypuszczam, sam nie wiedział. Lecz w dwa dni
potem zawiadomił mnie z przyjemnością, że tej
samej nocy, kiedyśmy z Filofejem jechali do Tuły,
na tej samej drodze ograbiono i zabito jakiegoś ku-
pca. Z początku nie chciałem wierzyć tej wieści,
lecz później trzeba było uwierzyć, prawdziwość jej
bowiem potwierdził urzędnik policyjny, który przy-
jeżdżał na śledztwo.

Czy nie z tego właśnie „wesela“ wracali nasi
zuchowie, czy nie tego „pana młodego“ oni, według
żartobliwego wyrażenia olbrzyma, „ułożyli“?

We wsi Filofeja bawiłem jeszcze pięć dni. Ile
razy go spotkałem, zawszem pytał:

— A co? stuka?

— Wesoly człowiek — odpowiadał za każdym ra-
zem Filofej i śmiał się.

V.

Ś m i e r ć.

Mam sąsiada; jest to młody człowiek i młody myśliwy.

Pewnego pięknego, lipcowego poranku przyjechałem do niego konno, z propozycją, abyśmy razem udali się na polowanie, na cietrzewie.

Przystąpił na to.

— Tylko, powiada, pojedziemy do moich zagajników, a przy tej sposobności zobaczę Czapłygino... znasz pan zapewne mój las dębowy, właśnie teraz wyrabują go.

— Zgoda.

Kazał osiodłać konia, włożył na siebie zielony surdut z guzikami brązowymi, wyobrażającymi głowy dzików, torbę myśliwską wyszywaną włóczkami, flaszkę srebrną, zarzucił na ramię strzelbę francuską, nie bez przyjemności pokręcił się przed lustrem i zawołał psa Esperansa, którego dostał w prezencie od kuzynki swej, starej panny, odznaczającej się bardzo dobrem sercem i brakiem włosów.

Pojechaliśmy.

Mój sąsiad wziął z sobą dziesiętnika Archipę, przysadzistego chłopę, o kwadratowej twarzy, z muskulami rozwiniętymi w sposób przedpotopowy — oraz zgodzonego niedawno rządcę z gubernij Ostżejskich, młodzieńca lat dziewiętnastu, szczupłego, jasnego blondyna, z obwisłymi ramionami i długą szyją, pana Gottlieba von der Kock'a.

Sąsiad mój niedawno objął majątek. Otrzymał on go w spadku po ciotce, wdowie po radcy stanu Kardon - Katajewowej, kobiecie nadzwyczaj otyłej, która nawet w łóżku leżąc, zawsze ciężko stękała.

— Poczekajcie na mnie, tu, na polance — rzekł Ardalion Michajłowicz (mój sąsiad), zwracając się do swoich towarzyszy.

Niemiec uklonił się, zsiadł z konia, wydobyl z kieszeni książkę, zdaje mi się, że romans Joanny Schopenhauer, i usiadł pod krzaczkiem; Archip został na słońcu i nie poruszył się w przeciągu godziny.

Pochodziliśmy po krzakach i nie znaleźli ani jednego cietrzewia.

Ardalion Michajłowicz oświadczył, że ma zamiar udać się do lasu. Ja sam wątpiłem jakoś tego dnia o powodzeniu polowania, więc powlokłem się za nim.

Wróciliśmy na polankę.

Niemiec założył stronie książki, którą czytał, schował książkę do kieszeni i wsiadł, nie bez trudności, na swoją kusę, wybrakowaną kobyłę, która kwiczała i wierzgała za najmniejszym dotknięciem; Archip poruszył się, szarpnął cugłami, zamachał nogami i ruszył nareszcie z miejsca swoją oszalomioną szkapinę.

Pojechaliśmy.

Las Ardaliona Michajłowicza znany mi był od dzieciństwa. Razem z guwernerem moim, panem Desiré Fleury, najlepszym człowiekiem (który zresztą o mało nie zrujnował mi zdrowia, zmuszając co wieczór do picia lekarstwa Leroy), chodziłem często do Czapłygina. Cały ów las składał się z dwustu, może trzystu ogromnych dębów i jesionów. Ich potężne, wysokie pnie wspaniale czerniały na złocisto-przezroczej zieleni leszczyny i jarzębiny, a wyżej rysowały się malowniczo na jasnym lazurze i rozrzucały szeroko namiot ze swych wielkich konarów. Jastrzębie, kobuzy, pustulki ze świstem unosiły się nad nieruchomymi wierzchołkami, pstre dzięcioły mocno stukwały w grubą korę, dźwięczny głos czarnego drozda rozlegał się nagle w gęstwinie liści, za przeciągłym krzykiem wilgi. Niżej, w krzakach, świegotały i śpiewały trzcinniki, czyże i pliszki; zięby biegały zgrabnie po drożkach; zając, kicając, przekradał się ostrożnie, ruda wiewiórka przeskakiwała z drzewa na drzewo, to znów nagle siadała, nakrywając się puszystym ogonem.

Na trawie, pod lekkim cieniem fantastycznie wyciętych liści paproci, kwitnęły fioletki i konwalie, rosły surowadki, bedłki-goląbki, czerwone muchomory, a pomiędzy krzakami tu i owdzie czerwieniły się poziomiki.

A co za cień bywał w tym lesie! Podczas największego upału, w południe, noc prawdziwa: cisza, zapach, chłód...

Wesoło przepędzałem niegdyś czas w Czapłyginie i dlatego to, przyznając, z pewnem uczuciem smutku wjeżdżałem teraz do tak dobrze znanego mi lasu. Niszcząca, bezśnieżna zima 1840 r. nie oszczę-

dziła starych moich przyjaciół — dębów i jesionów; uschłe, obnażone, gdzieś tam tylko pokryte suchotniczą zielonością, smutnie wznosiły się nad młodym gajem... Niektóre, jeszcze obsypane liśćmi u dołu, jakby z wyrzutem i rozpaczą, wznosiły do góry swe obumarłe, oblamane gałęzie, ... na innych z pośród liści, chociaż nie obfitych, nie tak gęstych jak przedtem, sterczały grube, suche, martwe sęki; z niektórych już kora spadała u dołu, niektóre nareszcie obaliły się zupełnie i gnily.

Ktoby się mógł spodziewać! Cienia w Czapłyginie nigdzie nie można było znaleźć! Cóż, myślałem sobie, patrząc na umierające drzewa, wstyd wam i gorzko!

— Dlaczegoż to, Ardalionie Michajłowiczu — rzekłem — dlaczego nie kazałeś pan ściąć tych drzew zaraz w następnym roku? Wszak teraz nie dadzą za nie ani dziesiątej części tego, co byliby dali wówczas.

Wzruszył ramionami.

— Zapytaj pan cioci... kupcy przychodzili, pieniądze przynosili, naprzykrzali się...

— Mein Gott, mein Gott — wołał na każdym kroku von der Kock. — Jaki szkoda, jaki szkoda!

Szczególniej wzbudzały jego współczucie leżące na ziemi dęby i rzeczywiście, niejednen młynarz drogoby za nie zapłacił. Dziesiątnik Archip zachowywał niezamącony spokój i nie żałował drzew; przeciwnie, przeskakiwał przez nie z przyjemnością i uderzał po nich biczkiem.

Dażyliśmy do miejsca, w którym rąbią, gdy nagle dał się słyszeć łoskot padającego drzewa, a za

nim krzyk i po kilku chwilach wybiegł ku nam z gęstwiny młody chłop, blady i przerażony.

— Co takiego? dokąd biegniesz? — zapytał go Ardalion Michajłowicz.

Zatrzymał się.

— Ach, ojczy, Ardalionie Michajłowiczu, źle!

— Cóż?

— Maksyma drzewo przygniotło.

— Jakiem sposobem? Maksyma? Dostawcę.

— Dostawcę, ojczy. Myśmy podrąbywali jesion, a on stoi, patrzy... Stał, stał, wreszcie poszedł po wodę... śnać mu się pić zachciało. Nagle jesion trzeszczy i prosto na niego... Krzyczymy: uciekaj! Zamiast rzucić się w bok, ten biegnie wprost przed siebie... No—i jesion nakrył go górnemi sękami, samym wierchem. I dlaczego przewrócił się tak prędko? Bóg wie... Widocznie rdzeń był zgniły.

— I zabiło Maksyma?

— Zabiło... ojczy.

— Na śmierć?

— Nie, żyje on jeszcze, ale cóż: ręce i nogi pogruchotane. Właśnie biegnę po Seliwerstycza... lekarza.

Ardalion Michajłowicz kazał dziesiętnikowi pędzić do wsi, a sam szybkim klusem podążył do rębaczki. Ja za nim.

Znaleźliśmy biednego Maksyma na ziemi. Z dziesięciu chłopów stało koło niego. Zsiadliśmy z koni.

Prawie nie jęczał, od czasu do czasu otwierał oczy, jakby z zadziwieniem patrzył dokoła, gryzł posiniałe wargi... Podbródek jego drgał, włosy przylgnęły do czoła, pierś poruszała się nierówno... Umierał.

Lekki cień młodej lipy ślizgał się po jego twarzy.

Pochylił się nad nim... Poznał Ardalion Michajłowicza.

— Panie—rzekł ledwie dosłyszalnym głosem—po popa... kaźcie.... posłać. Bóg mnie skarał... nogi... ręce... wszystko pogruchotane... dziś niedziela... a ja... ja trzymałem ludzi przy robocie...

Zamilkł, nie mógł oddychać...

— A pieniądze moje, żonie... żonie oddajcie, potraciwszy... Onisim wie... com ja... komu winien.

— Posłaliśmy po lekarza, Maksymie—rzekł mój sąsiad—może ty jeszcze nie umrzesz.

Otworzył oczy i z wysiłkiem podniósł powieki:

— Nie—rzekł—ja umrę... Ona, ona... idzie już... oto... Chłopcy! przebaczone mi, jeżeli czem...

— Bóg ci przebaczy, Maksymie Andrejewiczu—głucho, jednym głosem odezwali się chłopcy i zdjęli czapki...—Przebaczone nam.

Rozpaczliwie potrząsnął głową, wystawił piersi naprzód i znów głowę opuścił.

— Nie można jednak pozwolić, żeby on tu umierał — zawołał Ardalion Michajłowicz. — Chłopcy! ściągnijcie no z woza rogózkę, zaniemy go do szpitala.

Dwóch ludzi pobiegło do woza.

— Ja... u Jefima... Syczowskiego... — wyszeptał konający... konia wczoraj... kupiłem. Zadek dałem... więc koń mój... żonie go... także.

Zaczęli go przenosić na rogożę... Zatrzepotał się jak ptak zastrzelony, wyprostował...

— Umarł—szepnęli chłopcy.

W milczeniu dosiedliśmy koni i odjechali do domu.

Śmierć biednego Maksyma dała mi powód do rozmyślań. W sposób podziwu godny umiera chłop ruski! Stanu jego przed skonaniem nie można nazwać ani obojętnością, ani tępością umysłu; umiera on tak, jakby spełniał obrządek: chłodno i prosto.

Kilka lat temu u innego mego sąsiada, na wsi, chłop się strasznie poparzył w suszarni zboża. (Byłby już pozostał w tej suszarni, ale pewien przejeżdżający mieszczanin, wyciągnął go ztamtąd na wpół żywego: zanurzył się w kadzi z wodą i rozpędziwszy się, wybił ramionami drzwi pod płonąca strzechą).

Poszedłem do niego, do izby.

Ciemno tam, duszno, pełno dymu. Pytam, gdzie chory?

— A oto, panie, na leżance — odpowiada mi zasmucona baba.

Zbliżam się; chłop leży, przykrył się kołuchem, oddycha ciężko.

— Cóż, jak się czujesz?

Poruszył się chory na piecu, podnieść się chce — a cały w ranach, umierający...

— Leż, leż... jakże ci?

— Wiadomo... źle — mówi.

— Boli bardzo?

Milczy.

— Czy ci czego nie trzeba?

Milczy...

— A może ci przysłać herbaty?

— Nie trzeba.

Odszedłem od niego, usiadłem na ławce, siedzę kwadrans, pół godziny, w izbie milczenie grobowe. W kącie, za stołem, pod obrazami, kryje się dziewczynka pięcioletnia, chleb je. Matka jej grozi zdaleka. W sieni chodzą, stukają, rozmawiają: żona brata kapustę sieka.

— Hej, Aksinia — wymówił nareszcie chory.

— Czego?

— Kwasu daj.

Aksinia podała mu kwasu.

Znowuż milczenie,

Pytam szeptem:

— Spowiadał się?

— Spowiadał...

— No, więc wszystko w porządku, oczekuje śmierci...

Nie mogłem dosiedzieć dłużej, wyszedłem...

To znów raz, przypominam sobie, przejeżdżając, wstąpiłem do szpitala wsi Krasnogoria, do znajomego felczera, Kapitona, namiętnego myśliwego.

Szpital znajdował się w byłej oficynie dworskiej; założyła go sama obywatelka, to jest kazała przybić nade drzwiami deskę błękitną, z napisem białymi literami: „Szpital krasnogorski“, sama zaś wręczyła Kapitonowi bardzo ładne album do zapisywania nazwisk chorych.

Na pierwszej karcie tego albumu jeden z pieczeniary i pochlebców dobroczynnej obywatelki napisał następujące wierszyki:

„Dans ces beau lieu, ou regne l'allégresse,

„Ce temple fut ouvert par la Beauté;

„Des vos seigneurs admirez la tendresse,

„Bons la' itant d'e Krasnogorié.“

Inny zaś jegomość dopisał u dołu.

„Et moi aussi j'aime la nature.“

„Jean Kobylatnikoff.“

Felczer kupił za swoje pieniądze sześć łózek i zaczął leczyć ludkę Boży.

Oprócz tego, przy szpitalu znajdowało się dwoje ludzi: cierpiący na umyśle pieczętarz Paweł i suchoręka baba Melikित्रysa, pełniąca obowiązki kucharki. Oni we dwoje przygotowywali lekarstwa, suszyli zioła, oni też uspakajali chorych gorączkujących. Obłąkany pieczętarz był zawsze ponury i niechętny do rozmowy, po nocach śpiewał pieśni o „prześlicznej Wenerze” i do każdego przejeżdżającego zbliżał się z prośbą, aby mu pozwolono ożenić się z jakąś dziewczką, Melanią, od dawna już nieżyjącą. Suchoręka baba biła go i zmuszała do pilnowania indyków.

Otóż jestem pewnego razu u felczera Kapitona, rozmawialiśmy o ostatniem naszym polowaniu; wtem wtacza się na dziedziniec wóz ciągnięty przez niemożliwie spasionego białego konia; tylko młynarze mieszą takie.

— Wasilij Dmitrycz — zawołał Kapiton przez okno — bardzo prosimy! Jest to młynarz lubowczyński — szepnął do mnie.

Chłop, stękając, zeszedł z wozu do pokoju felczera i przeżegnał się przed obrazami.

— No cóż, Wasili Dmitryczu, co nowego? Aleć chyła niezdrowi jesteście, nieszczególnie wyglądacie na twarzy.

— Tak, Kapitonie Timofieiczu, rzeczywiście... jest jakoś nie...

— A cóż?

— A oto — rzekł młynarz — niedawno kupilem ja w mieście żarna, przywiozłem je do domu i zacząłem je z wozu zdejmować. Wysiłem się za bardzo, czy co... dość, że w żywocie coś mi się oberwało... i oto od tego czasu niedobrze jest... Dziś nawet bardzo niedobrze.

— Hm — rzekł Kapiton — i zażył tabaki — ruptura... a jak dawno to się stało?

— Będzie oto dziesiąty dzień...

— Dziesiąty!

Felczer pokiwał głową: pozwól niech cię obejrzę. No, Wasili, odezwał się nareszcie, żal mi cię bardzo, mój serdeczny, ale rzecz jest niedobra; chory jesteś nie żartem, zostań tu: ja ze swej strony wszelkich starań dołożę, ale uprzedzam, że za nic nie ręczę.

— Czyż tak źle jest? — zapytał zdziwiony chłop.

— Tak; źle, Wasili Dmitryczu; żebyście byli przyszli o dwa dni wcześniej, byłoby nic, jak ręką odjął; teraz jest już zapalenie, tylko patrzeć, kiedy się pokaże gangrena.

— Ale to być nie może, Kapitonie Timofieiczu...

— Już ja wam mówię...

— Jakżeż?

Felczer ramionami wzruszył.

— Więc mam umierać z powodu takiego głupstwa?

— Umierać... może i nie... tylko... zostańcie tu lepiej.

Chłop pomyślał, pomyślał, popatrzył na podłogę, potem na nas spojrział, podrapał się po czuprynie — i za czapkę.

— Dokądże to?

— Dokąd? Wiadomo dokąd — do domu. skoro jest tak źle. Trzeba rozporządzenia porobić...

— Wy sobie napytacie biedy, i tak dziwię się, jakżeście mogli tu przyjechać? Zostańcie.

— Nie, bracie Kapitonie Timofiejczu, już jeżeli umierać, to w domu. Ja tu będę umierał, a w domu Bóg wie, co zrobić się może...

— Jeszcze nie wiadomo, Wasili Dmitrowiczu, jak się rzecz obróci.... zapewne, niebezpiecznie, bardzo niebezpieczne, nie ulega wątpliwości, ale dlatego to należy tu pozostać.

Chłop głową pokiwał.

— Nie, nie zostanę. A może zapiszecie jakie lekarstwo?

— Lekarstwo niewiele pomoże.

— Nie zostanę, mówię, że nie pozostanę.

— Jak chcecie, byleście później nie mieli pre-
tensyi.

Felczer wyrwał karteczkę z albumu i zapisawszy receptę, poradził, jak się trzeba zachowywać.

Chłop wziął karteczkę, dał Kapitonowi pół rubla, wyszedł z pokoju i siadł na wóz.

— No, bądźcie zdrowi, Kapitonie Timofiejczu, nie wspominajcie źle; a o sierotkach pamiętajcie, jeżeli co...

— Ej, zostańcie, Wasili.

Chłop tylko głową potrząsnął, uderzył konia lej-
cami i wyjechał z podwórza.

Wyszedłem na ulicę, popatrzyłem za nim.

Droga była błotnista i pełna wybojów; młynarz jechał ostrożnie, nie śpiesząc, zręcznie powoził i kła-
niał się przejeżdżającym.

Na czwarty dzień później już nie żył.

Wogóle dziwnie umierają ludzie ruscy. Wielu nieboszczyków przychodzi mi teraz na myśl. Przypominam sobie, ciebie, mój stary przyjacielu, niedouczony studentie, Awenirze, prześliczny, najszlachetniejszy człowieku! Widzę znów twoją twarz suchotniczą, zielonkowatą, twoje rzadkie blond włosy, twój łagodny uśmiech, twój wzrok pełen zachwyty; słyszę twój głos słaby i łagodny. Mieszkałeś ty u wielkorosyjskiego obywatela, Gura Krupiennikowa; uczyłeś jego dzieci, Fofę i Ziozię, czytania russkiego, jeografii i historyi; znosiłeś cierpliwie ciężkie żarty samego Gura, swawolę złych malców, nie bez gorzkiego uśmiechu, lecz i bez narzekań; — spełniałeś kapryśne wymagania znudzonej pani, ale za to jakże bywałeś szczęśliwy, gdy wieczorem, po kolacyi, załatwiwszy wreszcie wszystkie swe obowiązki i zajęcia, siadałeś przy oknie z fajeczką, lub też przeczukałeś z chciwością zniszczony, gruby miesięcznik, przywieziony tu z miasta przez jeometrę, takiego samego bezdomnego biedaka, jak i ty!

Jakżeż podobaly ci się wówczas wszelkie wiersze i wszelkie powieści; jak łatwo ukazywały się lzy w twoich oczach; z jaką przyjemnością śmiałeś się; jak szczerą miłością do ludzi, jaką szlachetną sympatją do wszystkiego co dobre i piękne, przejmowała się twoja dziecięco-czysta dusza.

Należy powiedzieć prawdę: nie odznaczałeś ty się zbytecznym dowcipem, nie obdarzyła cię natura ani pamięcią, ani pilnością. W uniwersytecie uważany byłeś za jednego z najgorszych studentów, na lekcjach spałeś, na egzaminach milczałeś uroczyście;

lecz czyje oczy błyszczały radością, komu tchu brakło w piersiach, na widok powodzenia kolegi? — tobie. Kto ślepo wierzył w wysokie powołanie swoich przyjaciół, kto wychwalał ich z dumą, kto bronił z zaciętością; kto nie znał ani zazdrości, ani miłości własnej, kto się bezinteresownie poświęcał, kto chętnie poddawał się ludziom nie wartym jego podszewy? Zawsze ty, zawsze ty, nasz dobry Awenirze! Pamiętam, jak ze złamanem sercem rozstawaleś się z kolegami, odjeżdżając na kondycję; męczyły cię złe przecucia i rzeczywiście, na wsi źle ci było. Na wsi nie miałeś ani kogo słuchać z zachwytem, ani kogo podziwiać, ani kogo kochać... I stepowcy i wykształceni obywatele traktowali cię jak nauczyciela. Jedni ordynarnie, drudzy lekceważąco. Przytem i figurą swoją nie imponowałeś: byłeś nieśmiały, rumieniłeś się, pociłeś, jąkałeś... Nawet zdrowia twego nie polepszyło wiejskie powietrze, spalałeś się jak świeczka, nieboraku!

Prawda, pokój twój wychodził na ogród; czeremchy, jabłonie, lipy, sypały ci przez okno na stół, na kałamarz, na książki, swoje kwiatki leciuchne; na ścianie wisiała błękitna, jedwabna poduszeczka do zegarka, ofiarowana ci, w godzinę rozstania, przez sentymentalną niemeczkę, guwernantkę o jasno-blond włosach i niebieskich oczach. Niekiedy przyjeżdżał do ciebie stary przyjaciel z Moskwy i zachwycił cię cudzemi, lub nawet śwemi wierszami; — ale samotność, ale nieznośna niewola obowiązku nauczyciela, niemożność oswobodzenia się, ale nieskończone jesienie i zimy, ale choroba nieodstępna... — biedny, biedny Awenirze!

Odwiedziłem Awenira Sorokoumowa na krótko przed jego śmiercią. Prawie już chodzić nie mógł. Obywatel Krupianikow nie wypędził go z domu, ale przestał płacić mu pensję, przyjął innego nauczyciela do Ziozi... Fofę oddano do korpusu kadetów. Awenir siedział przy oknie w starym wolterowskim fotelu. Pogoda była przesłiczna: jasne niebo jesienne błyszczało lazurem nad grupą obnażonych lip — gdzieś niedaleko drgały na nich i szeleściły ostatnie jaskrawo-złote liście.

Ziemia, przejęta mrozem, potniała i rozmarzała na słońcu, jego ukośne, różowe promienie ślizgały się po bladej trawie, jasno i wyraźnie dźwięczały w ogrodzie głosy robotników.

Awenir był ubrany w stary chałat bucharski, zielona chustka na szyi rzuciła martwy odcień na jego wychudzoną twarz.

Bardzo się uradował, gdy mnie zobaczył, wyciągnął do mnie rękę, zaczął mówić i zakaszłał się.

Usiadłem koło niego. Na kolanach trzymał kajet, zawierający starannie przepisane poezye Kolcowa.

— Oto poeta — wyszeptał z trudnością, wstrzymując się od kaszlu i zaczął deklamować słabym głosem.

Przerwałem mu: lekarz zabronił mu rozmawiać.

Wiedziałem, czem mu dogodzić. Nigdy on, jak to mówią, nie „śledził“ za nauką, zawsze jednak ciekawy był wiedzieć, do czego doszły teraz wielkie umysły. Bywało, spotka kolegę gdzie w kącie i wypytować go zacznie. Słucha, dziwi się, wierzy mu na słowo, a potem za nim powtarza. Szczególniej filozofia niemiecka zajmowała go bardzo

Zacząłem mówić mu o Heglu (jak widzicie, rzecz to dni dawno ubiegłych), Awenir kiwał głową, podnosił brwi, uśmiechał się, szeptał: „rozumiem, rozumiem, a! doskonale, wybornie!”

Przyznam się, że to dziecinne zamięłowanie nauki umierającego, opuszczonego biedaka, do łez mnie wzruszało.

Trzeba wiedzieć, że Awenir, wbrew zwyczajowi wszystkich suchotników, wcale się nie ludził co do swojej choroby, nie wzdychał, nie martwił się, nawet ani razu nie wspomniął o swoim położeniu.

Zebrawszy siły, zaczął mówić o Moskwie, o kolegach, o Puszkynie, o teatrze, o literaturze ruskiej; wspominał nasze zabawy, gorące spory naszego kółka, z żalem wymówił imiona kilku zmarłych przyjaciół.

— Pamiętasz Daszę? — dodał nakoniec — to była złota dusza, to było złote serce! A jak ona mnie kochała! Co się z nią robi teraz? Pewnie biedaczka wyschła, wychudła...

Nie śmiałem rozczarowywać chorego i w rzeczy samej, na co było mu wiedzieć, że jego Dasza roztyła się wspaniale, jeździ z kupcami, braćmi Kondackowymi, blanszuje się i różuje, piszczy i klóci się. Jednak — pomyślałem, patrząc na jego twarz wynędzniałą — czyby nie można go ztąd wydobyć, być może, że jeszcze są jakie środki...

Nie dał mi dokończyć.

— Nie, bracie, Bóg zapłać — odpowiedział — wszystko jedno gdzie umrzeć, ja i tak do zimy nie dociągnę, dlaczego napróżno ludzi niepokoić? I już do tego domu przywykłem, prawda, że tutejsi państwo...

— Żli — przerwałem.

— Nie, nie żli, tylko tacy jacyś... A zresztą narzekać na nich nie mogę... Są i sąsiedzi; obywatel Kasatkin ma córkę, wykształconą, uprzejmą, bardzo dobra panienka i nie dumna.

Znów kaszel go porwał.

— Wszystkoby to nic — rzekł, odpocząwszy — gdyby mi pozwolili wypalić fajeczkę... ale ja tak nie umrę, muszę fajkę wypalić — dodał, mrugnawszy okiem znacząco. — Chwała Bogu, żyłem dość długo, znałem dobrych ludzi...

— Mógłbyś też chociaż do krewnych napisać.

— Po co? oni mi nie pomogą, a gdy umrę, dowiedzą się. Ale co o tem mówić, opowiedz mi lepiej, coś widział za granicą?

Zacząłem opowiadać, zdawał się pochłaniać moje słowa.

Wieczorem odjechałem, a po dziesięciu dniach otrzymałem od pana Krupianikowa list następujący:

„Niniejszem mam honor zawiadomić szanownego pana, że przyjaciel pański, mieszkający w domu moim, student, pan Awenir Sorokoumow, cztery dni temu, o godzinie drugiej po południu, umarł i w dniu dzisiejszym, moim kosztem, w mojej cerkwi parafialnej, został pochowany. Prosił on mnie, ażeby odesłać panu, załączone przy niniejszem, książki i kajeta. Pozostało po nim pieniędzy 22 ruble i pół, które wraz z innemi jego rzeczami, będą odesłane krewnym jego. Umarł pański przyjaciel zupełnie przytomnie i powiedzieć można, z obojętnością, nie objawiając żadnych oznak żalu wtedy nawet, gdy z całą rodziną przyszliśmy się z nim pożegnać. Małżonka moja,

Kleopatra Aleksandrowna, zasyla panu ukłony. Śmierć pańskiego przyjaciela nie mogła nie podziałać na jej nerwy; co się zaś tyczy mnie, to jestem, chwała Bogu, zdrow i mam honor pozostać pańskim pokornym sługą

G. Krupianikow.

Wiele jeszcze przykładów przychodzi do głowy, ale wszystkie opowiedzieć trudno. Ograniczę się na jednym. Umierała przy mnie obywatelka, staruszka. Duchowny odmawiał nad nią modlitwy za konających, lecz nagle zauważył, że chora rzeczywiście kona i podał jej krzyż do pocałowania. Staruszka odsunęła się z niezadowoleniem. „Na co śpieszysz, ojcie — rzekła kostniejącym językiem — zdążysz.” Pocałowała krzyż, wsunęła rękę pod poduszkę i wydała ostatnie tchnienie. Pod poduszką znajdował się rubel. Ona chciała zapłacić duchownemu za tę ostatnią posługę.

Tak to dziwnie umierają ludzie rusczy.

VI.

Jermołaj i młynarka.

Wieczorem, z myśliwym Jermołajem, poszliśmy na „ciąg”. Ale, zapewne nie wszyscy moi czytelnicy wiedzą, co to jest „ciąg”. Przeto posłuchajcie: Na kwadrans przed zachodem słońca, na wiosnę — wchodźcie do gaju, z bronią, bez psa. Obieracie sobie miejsce, gdzie blisko brzegu gaju, wśród krzaków, oglądacie się, opatrujecie piston, porozumiewacie się z towarzyszem. Przechodzi kwadrans; słońce zaszło, lecz w lesie jeszcze jasno, powietrze czyste i przezroczyste, ptaki śpiewają, młoda trawa jaśniej blaskiem szmaragdu... czekacie.

Wnętrze lasu stopniowo ciemnieje; czerwone światło zorzy wieczornej powoli ślizga się po korzeniach i pniach drzew, podnosi się coraz wyżej i wyżej, przechodzi od niższych, prawie jeszcze gołych gałązek do nieruchomych, zasypiających wierzchołków...

Wreszcie i same wierzchołki pociemniały; niebo zaróżowione staje się niebieskiem, wzrasta się zapach w lesie coraz silniejszy, pociąga ciepły, wilgotny wie-

trzyk. Ptaki zasypiają. Nie wszystkie razem, według gatunków, i oto ucichły zięby, po kilku minutach czyżyki, za nimi poświerki.

W lesie ciemniej i ciemniej. Drzewa zlewają się w wielkie czerniejące masy. Na niebie występują pierwsze gwiazdki. Wszystkie ptaki śpią. Czarne pliszki, maleńkie dzięcioły jeszcze się odzywają sennie, lecz i one umilkły. Jeszcze gdzieś smutnie zakrzyczała wilga, słowik odezwał się po raz pierwszy.

Serce wasze męczy oczekiwanie... i nagle, lecz tylko jedni myśliwi mogą mnie zrozumieć, nagle, w głębokiej ciszy, rozlega się szczególniejsze chrapanie i świst, słychać miarowe uderzenia skrzydeł i słonka, pięknie nachyliwszy swój dziób, wypływa z za ciemnej brzozy na strzał.

Oto, co znaczy stać na ciągu.

Tak więc udaliśmy się z Jermołajem na „ciąg”, lecz przepraszam, pierwszej muszę was zapoznać z Jermołajem.

Wyobraźcie sobie człowieka czterdziestopięcioletniego, z długim i cienkim nosem, czarnymi oczkami, roztarganemi włosami i szerokimi, śmiejącymi się ustami. Człowiek ten, czy zimą czy latem, chodził w nankinowym kaftanie, niemieckiego kroju, lecz podpasywał się pasem, nosił niebieskie szarawary i czapkę futrzaną, дарowaną mu niegdyś przez podupadłego obywatela.

Do pasa przywiązywał dwa worki: jeden z przodu, przekręcony na dwie połowy: na proch i na śrut; drugi z tyłu na zwierzynę, przybitki zaś Jermołaj wyciągał z własnej, nigdy niewyczerpanej czapki. Mógłby on bardzo łatwo, za pieniądze, jakie miał za

sprzedaną zwierzynę, kupić sobie ładownicę i torbę myśliwską, lecz ani razu nie pomyślał nawet o podobnym sprawunku i nabijał swoją strzelbę jak dawniej, wzbudzając podziw widzów zręcznością, z jaką unikał zmieszania prochu ze śrutem.

Broń miał pojedynczą, ze skałką, „bijącą mocno”, na skutek czego prawa szczeka Jermołaja zawsze była pełniejsza od lewej. Jak on trafiał z tej broni, nawet bardzo mądry człowiek nie odgadłby, lecz trafiał...

Miał on i wyżła, który się wabił Waletka; zadziwiające stworzenie! Jermołaj nigdy jeść mu nie dawał.

— Będę ja psa paść—mówił—pies, mądre zwierzę, sam sobie pożywienie znajdzie.

I rzeczywiście, chociaż Waletka najobojętniejszego przechodnia raził swą chudością nadmierną, lecz żył i długo żył; nawet, bez względu na swe biedne położenie, nie zdradzał chęci opuszczenia swego pana.

Raz, jakoś za młodych lat, uciekł na dwa dni, ale to głupstwo prędko od niego odeszło.

Najbardziej godną uwagi właściwością Waletki była jego szczególna obojętność na wszystko na świecie. Gdyby tu była mowa nie o psie, użyłbym wyrazu—rozzarowanie. On zazwyczaj siadywał, podkułwszy pod siebie kusy ogon, był jakby nachmurzony, od czasu do czasu wstrząsał się i nie uśmiechał się nigdy (wiadomo, że psy umieją się uśmiechać i to bardzo przyjemnie).

Był on strasznie brzydki i ani jeden próżnujący dworski człowiek nie opuścił okazji, aby się nie naśmiać

z jego powierzchowności, ale wszystkie te żarty, a nawet uderzenia, Waletka znosił z zadziwiającą zimną krwią.

Szczególną przyjemność robił kucharzom, którzy natychmiast odrywali się od roboty i z krzykiem puszczali się za nim w pogoń, gdy on, wskutek słabości, nietylko jednym psom właściwej, wsuwał swój głodny pysk w półotwarte drzwi ciepłej i pełnej kuszących zapachów kuchni.

Na polowaniu był niezmordowany, węch miał dobry, lecz jeżeli wypadkiem dopędził ranionego zająca, to pożerał go z rozkoszą, całego, do ostatniej kostki, gdziekolwiek w chłodnym cieniu, pod zielonym krzakiem, w przyzwóitem oddaleniu od Jermołaja, klnącego wszystkimi znanymi i nieznanymi dyalektami.

Jermołaj należał do jednego z moich sąsiadów, obywatela starej daty.

Obywatela starej daty nie lubią „kulików” i wolą żywność domową.

Chyba tylko, w wypadkach nadzwyczajnych, jako to: w dnie urodzin, imienin i wyborów, kucharze staromodnych obywateli przystępują do przyrządzania długodziobnych ptaków i... wpadłszy wzapał, właściwy ruskiemu człowiekowi, kiedy ten, sam nie wie dobrze co robi, wymyślają takie mądre przyprawy, że goście po większej części z ciekawością i uwagą przyglądają się podanym potrawom, ale próbować ich odważyć się nie mogą.

Jermołaj miał nakazane raz na miesiąc dostarczać do kuchni pańskiej dwie pary cietrzewi i kuropatw, a zresztą pozwalano mu robić co chce i żyć czem chce.

Wyrzekli go się, jako człowieka niezdarnego do żadnej roboty.

Prochu i śrutu, ma się rozumieć, nie dawali mu, trzymając się widocznie tej zasady, dla której i on psa swego nie żywił.

Jermołaj był to człowiek dziwnego rodzaju, nie troszczący się o nic, jak ptak; dość gadatliwy, roz-targniony i na pozór niezgrabny, lubił bardzo pić, na miejscu ustalić się nie mógł, idąc, powłóczył nogami i przewalał się z boku na bok, ale tak włócząc nogami i tak przewalając się, mógł przejść pięćdziesiąt wiorst na dobę. Miewał on najrozmaitsze przygody: nocował w błotach, na drzewach, na dachach, pod mostami, siadywał nieraz w zamknięciu w piwnicach, na strychach, w stodolach. Tracił broń, psa, najniezbędniejsze części ubrania, bywał bity mocno i długo, — a jednak po jakimś czasie powracał do domu, odziany, z bronią i z psem...

Nie można go było nazwać człowiekiem wesołym, chociaż prawie zawsze znajdował się w dość dobrem usposobieniu; wogóle robił wrażenie cudaka.

Jermołaj lubił pogwarzyć z dobrym człowiekiem, szczególnie przy kieliszku, lecz i to niedługo: wstaje i odchodzi.

— Dokądże ty, dyable, idziesz? noc teraz.

— A do Czaplina.

— Na cóż masz wlec się do Czaplina o dziesięć wiorst?

— Tam, u Sofrona przenocuję.

— To nocuj tu.

— Nie, nie można.

I idzie Jermołaj ze swoim psem w noc ciemną przez krzaki i błota, a bardzo być może, że Sofron nawet go na podwórko do siebie nie puści, a jeszcze i po karku da, żeby pocziwych ludzi po nocach nie budził.

Nikt nie mógł zrównać się z Jermołajem w sztuce łowienia ryb na wiosnę, podczas powodzi, wydobywania raków z nor rękami, tropienia zwierzyny, wabienia przepiórek, chwytania słowików.

Jednej rzeczy nie umiał, układania psów — do tego brakło mu cierpliwości.

Miał on i żonę. Chodził do niej raz na tydzień. Mieszkała ona w nędznej, na wpółrozwalonej chacie, żywiła się byle jak i byle czem, nie wiedziała nigdy co jeść będzie jutro i wogóle miała bardzo gorzki los.

Jermołaj, ten dobroduszny człowieczyna, obchodził się z nią surowo i źle.

W domu przybierał groźną minę, a biedna żona nie wiedziała, czem mu dogodzić. Drżała przed jego spojrzeniem, za ostatni grosz kupowała mu wódki i z wielkiem uszanowaniem nakrywała go swoim kożuchem, kiedy on, rozwaliwszy się z godnością na piecu, zasypiał snem bohatera.

Lecz Jermołaj nigdy dłużej nad jeden dzień nie bywał w domu, a między obcymi był znów „Jermołką”, jak go nazywano na sto wiorst wokoło, i jak on sam siebie niekiedy nazywał. Najostatniejszy z ludzi dworskich czuł swoją wyższość nad tym włóczęgą i, być może, dlatego właśnie obchodził się z nim przyjaźnie.

Chłopi z początku z przyjemnością gonili go i chwyтали, jak zająca w polu, lecz potem puszczali

z Bogiem i raz poznawszy dziwaka, nie ruszali go więcej. Dawali mu nawet chleb i rozmawiali z nim.

Tego to człowieka wziąłem do siebie na strzelca i z nim udałem się na ciąg, do wielkiego gaju brzoźowego, na brzegu Isty. Wiele rzek ruskich, na podobieństwo Wołgi, ma jeden brzeg górzysty, a drugi łąkowy. Ista — również. Ta niewielka rzeczka wije się bardzo fantastycznie. Pelza jak wąż. Nie płynie prosto ani pół wiorsty, a w niektórych miejscach, z wysokości pagórka, widzieć ją można na dziesięć wiorst daleko, z groblami, stawami, młynami i ogrodami.

Ryb w Iście mnóstwo.

Małe kuliki ze świstem przelatują wzdłuż kamienistych brzegów, upstrzonych chłodnemi i świeżemi źródami. Dzikie kaczki wypływają na środek stawu i oglądają się ostrożnie, czaple sterczą w cieniu, w zatokach.

Staliśmy na ciągu około godziny, zabili dwie pary słonek i chcąc przed wschodem słońca znów spróbować szczęścia (na ciąg można też chodzić rano), postanowiliśmy przenocować w najbliższym młynie.

Wyszliśmy z gaju, zeszli z pagórka, rzeka toczyła ciemno-niebieskie fale, powietrze gęstniało, obciążone wilgocią nocy.

Zastukaliśmy we wrota: psy zaczęły szczekać na dziedzińcu.

— Kto tam? — dał się słyszeć głos ochryply i zaspany.

— Myśliwi jesteście — chcemy przenocować...
Odpowiedzi nie było.

— Zapłacimy!

— Pójdę, powiem gospodarzowi... Cicho! przekłete psy... że was też raz lichu nie weźmie!

Słyszeliśmy, jak robotnik wszedł do izby... Wkrótce powrócił.

— Nie—powiada—gospodarz nie kazał wpuścić.

— Dlaczego?

— Boi się; myśliwi jesteście, możecie jeszcze młyn podpalić, macie takie różne przyrządy.

— Co za dzieciństwo!

— U nas tu w zaprzyszłym roku młyn się spalił; nocowali właśnie; tacy co solone ryby sprzedają, i widać podpalili.

— Ale jakżeż mój bracie, trudno przecież nocować na dworze.

— Ha... jak sobie chcecie — rzekł i odszedł, stukając butami.

Jermołaj powiedział mu kilka słów nieprzyjemnych.

— Pójdziemy na wieś—odezwał się z westchnieniem, ale do wsi dwie wiorsty drogi.

— Zanocujemy tu—rzekłem—noc ciepła; młynarz za pieniądze da nam słomy.

Zaczęliśmy znów stukać.

— Czego chcecie?—dał się znów słyszeć głos robotnika — powiedziano raz, że nie można, to nie można!

Wytłomaczyliśmy mu o co nam idzie, on poszedł znów do gospodarza i po chwili wrócił z nim razem.

Skrzypnęła furtka.

Ukazał się młynarz; człowiek wysokiego wzrostu, z karkiem byczym, brzuchem zaokrąglonym i wielkim. Zgodził się na nasze żądanie.

O sto kroków od młyna znajdowała się niewielka, ze wszystkich stron otwarta szopa, właściwie dach na słupach. Tam przynieśli nam słomy i siana; robotnik na trawie, przy rzeczce nastawiał samowar i przysiadłszy w kucki, gorliwie dmuchał w kominek. Węgłe, rozpalając się, oświetlały jasno jego młodą twarz.

Młynarz pobiegł obudzić swoją żonę i wreszcie sam zaproponował mi, abym przepędził noc w izbie; woląłem jednak pozostać na świeżem powietrzu.

Młynarzowa przyniosła nam mleka, jaj, kartofli i chleba. Wkrótce samowar zaczął kipieć, zabraliśmy się do herbaty.

Z rzeki podnosiła się para; wiatru nie było; dokoła krzyczały chruściele, przy kołach młyńskich dawały się słyszeć słabe odgłosy. To krople spadały ze szczebli kół, to cienkie strumyki wody przedzierały się przez stawidła.

Rozłożyliśmy małe ognisko; Jermołaj piekł kartofle, ja tymczasem zdrzemnąłem się trochę.

Obudził mnie cichy, stłumiony szept.

Podniosłem głowę: przy ogniu, na wywróconym szafliku siedziała młynarzowa i rozmawiała z moim strzelcem. Już wpierw, po ubraniu jej, ruchach i wymowie, zauważyłem że to kobieta dworska; nie baba i nie mieszcanka — ale teraz dopiero przypatrzyłem się dobrze jej rysom.

Mogła mieć, sądząc z pozoru, około trzydziestu lat życia; chuda, blada jej twarz zachowała jeszcze ślady zadziwiającej piękności; szczególnie podobały mi się jej oczy, wielkie i zasmucone.

Oparła łokcie na kolanach, twarz na rękach,

Jermołaj siedział zwrócony do mnie plecami i dorzucał drzazg do ognia.

— W Żółtuchinej znów pomór na bydło — mówiła młynarka. — U ojca Iwana obie krowy padły... Panie, zmiłuj się nad nami.

— A jakże wasze świnię? — zapytał po chwili milczenia Jermołaj.

— Żyją.

— Moglibyście podarować mi chociaż prosiątko...

Młynarka nic nie odrzekła — westchnęła.

— Z kim jesteście? — spytała.

— Z panem Kostomarowskim.

Jermołaj rzucił do ognia kilka gałązek jodłowych, które zaraz zaczęły trzeszczeć i gęsty biały dym podniósł się do góry.

— Dlaczego twój mąż nie wpuścił nas do izby?

— Boi się.

— Widzisz go! gruby brzuchacz! Gołąbko, Arino Timofiejewno, przynieś ty mi kieliszek wódki!

Młynarka wstała i zniknęła w ciemności, Jermołaj nucił półgłosem.

Arina powróciła z niedużą karafką i kieliszkiem. Jermołaj wstał, przeżegnał się i wypił duszkiem.

— Lubie! — dodał.

Młynarka znów usiadła na szafliku.

— A co, Arino, znów chorujesz?

— Choruję.

— Cóż ci to?

— Kaszel męczy nocami.

— Pan, zdaje się zasnął — rzekł Jermołaj po krótkim milczeniu. — Ty, Arino, do lekarza nie chodź... gorzej ci będzie.

— Ja też nie chodzę.

— Ale do mnie przyjdź w gościnę.

Arina opuściła głowę.

— Ot lepiejbyście obudzili pana, Jermołaju Pietrowiczu. Kartofle już upieczone.

— A niech tam leży — rzekł obojętnie mój wierny sługa — nachodził się dziś dość, to śpi.

Poruszyłem się na sianie. Jermołaj wstał i zbliżył się do mnie.

— Kartofle już gotowe, proszę pana.

Wstałem; młynarka podniosła się i chciała odejść.

— Jak dawno trzymacie ten młyn? — zapytałem.

— Na Zielone świątki drugi rok się zaczął.

— A twój mąż z kąd jest?

Arina nie dosłyszała mego pytania.

— Z kąd twój mąż? — powtórzył Jermołaj głośniejszym głosem.

— Z Bielewa; mieszczanin bielewski...

— A ty także z Bielewa?

— Nie; ja pańska... byłam pańska...

— Czyja?

— Pana Zwierkowa; teraz jestem wolna.

— Którego Zwierkowa?

— Aleksandra Siłycza...

— Czy nie byłaś pokojówką jego żony?

— A pan z kąd o tem wie? Byłam.

Z podwójną ciekawością i współczuciem spojrzałem na Arinę.

— Ja znam twego pana...

— Zna pan? — odrzekła półgłosem i pochyliła głowę.

Trzeba wiedzieć, dlaczego z takim współczuciem spojrzałem na Arinę. Podczas pobytu mego

w Petersburgu przypadkowo poznałem się z panem Zwierkowem.

Zajmował on dość poważne stanowisko i słynął jako człowiek czynny i światły. Miał żonę otulą, sentymentalną, płacziwą i złą—istotę tuzinkową i ciężką; miał też i synka, prawdziwego panicyzka, rozpieszczonego i głupiego.

Powierzchnowość samego pana Zwierkova nie była zbyt pociągająca: z czworokątnej prawie, szerokiej jego twarzy złośliwie patrzyły mysie oczka, sterczał nos duży i ostry, z ruchomymi nozdrzami; ostrzyżone, szpakowate włosy jeżyły się nad pomarszczonym czołem, jak szczecina, cienkie wargi poruszały się ustawicznie i uśmiechały obłudnie.

Pan Zwierkow stawiał zwykle, szeroko rozstawiając nogi i trzymając grube ręce w kieszeniach.

Raz wypadło mi pojechać z nim kareta za miasto. Rozgawędziliśmy się. Jako człowiek doświadczony, czynny, pan Zwierkow zaczął mnie naprowadzać na „drogę prawdy..”

— Pozwól pan, że powiem — pisał cieniem głosem — że wy wszyscy młodzi ludzie sądzicie i rozprawiacie o różnych rzeczach podług fantazy; za mało znacie waszą własną ojczyznę... Rosya jest wam, panowie, nieznana... O! Czytujecie tylko niemieckie książki. Oto na przykład, i to... i owo, to jest w kwestyi ludzi dworskich... Dobrze, nie spieram się, że to wszystko jest bardzo piękne, ale wy ich nie znacie, nie wiecie, co to za naród. (Pan Zwierkow utarł nos bardzo głośno i zażył tabaki). Wiesz pan przecież, jaką ja mam żonę: зда się, że lepszej nad nią kobiety trudno znaleźć.

Jej służące, pokojówki, mają nie życie, ale prawdziwy raj na ziemi. Ale małżonka moja przyjęła za zasadę: nie trzymać służących zamężnych. Nawet nie wypada: dzieci, to, owo... gdzież taka służąca może dbać o panią jak należy, uważać na jej przyzwyczajenia... już jej nie do tego, co innego ma w głowie. Trzeba to sądzić po ludzku. Otóż jednego razu, przejeżdżamy przez naszą wieś... będzie to temu, żeby nie skłamać, piętnaście lat. Patrzymy, w domu starosty jest dziewczyna; córka, prześliczna, nawet wiesz pan, ma coś uniżonego w manierach... Żona odzywa się do mnie: — Koko... to jest, rozumiesz pan, ona mnie tak czasem nazywa... weźmy tę dziewczynkę do Petersburga, ona mi się bardzo podoba, Koko! Ja mówię: — Weźmiemy z przyjemnością. Starosta, ma się rozumieć, nam do nóg; takiego szczęścia, rozumiesz pan, nie mógł się nawet spodziewać. Dziewczyna naturalnie, płakała trochę z głupoty. Rzeczywiście, z początku mogło jej być przykro... dom rodzicielski... wogóle... niema się czemu dziwić... Jednak przyzwyczaiła się do nas prędko, oddaliśmy ją do fraucymeru, uczyli... naturalnie... Cóż pan myślisz? Dziewczyna robi postępy zadziwiające: żona moja poprostu rozmiłowywała się w niej, no i nareszcie, pomimo że były inne kandydatki, robi ją pokojówką przy swojej osobie... Niech pan to zauważy!... Trzeba jednak oddać sprawiedliwość; takiej służącej żona moja nigdy jeszcze nie miała... usłużna, skromna posłuszna... wszystko, czego tylko można wymagać... Za to też i żona, przyznam się, rozpieszczała ją zanadto. Ubierała pięknie, jedzenie z pańskiego stołu, herbata... wszy-

stko, co tylko można sobie wyobrazić! Tak oto, była ona u mojej żony przez dziesięć lat. Raptem, pewnego pięknego poranku, wyobraź pan sobie, wchodzi Arina (Arina miała na imię) — bez meldowania się, do mego gabinetu — i buch mi do nóg!... Ja tego, jeżeli mam panu powiedzieć otwarcie, znośić nie mogę. Człowiek nie powinien nigdy zapominać o swojej godności. Nieprawdaż? — Czego chcesz? — Ojczy, Aleksandrze Siłycz, proszę o łaskę. — O jaką? — Pozwólcie mi, panie, wyjść za mąż! Przyznam się panu, że zdziwiłem się. — A czy ty wiesz, głupia, że pani niema innej służącej? — Będę, panie, służyła, jak dotąd. — Głupstwo, głupstwo! pani nie trzyma sług zamężnych. — Melania może zająć moje miejsce... — Proszę nie rezonować!.. — Wola pańska... Przyznam się panu, że zdumiałem... Jestem taki człowiek, że, śmiem to powiedzieć, nie mnie tak silnie nie oburza, jak niewdzięczność... Przecież niema co opowiadać panu;... wiesz pan, że żona moja jest to wcielony anioł... dobroć nieopisana... — Zdaje mi się, że nawet złoczyńca i tenby nad nią miał litość... Kazałem Arinie pójść precz... Myślę sobie... nuż się opamięta, bo... nie chce się wierzyć, żeby w człowieku mogła istnieć taka czarna niewdzięczność. I cóż pan myśli?... — Nie upłynęło pół roku, a ta znów zaszczyca mnie swoją obecnością i taką samą prośbą. — Przyznam się, że wypędziłem ją z gniewem, pogroziłem i obiecałem powiedzieć żonie. Byłem wzburzony... lecz, wyobraź pan sobie, moje zdumienie... W jakiś czas później przychodzi do mnie żona, we łzach, zdenerwowana, ażem się przestraszył. — Co takiego? — Ari-

na... Rozumie pan? Wstydzę się nawet powtórzyć. — Nie może być! Ale który? — Pietruszka, lokaj... Targnęło mnie coś... Ja taki jestem człowiek, że półśrodków nie lubię!... Pietruszka nie winien. Ukarąć go można, lecz on, według mego zdania, nie winien. — Arina, no cóż... co tu mówić? Ja, ma się rozumieć, natychmiast kazałem ją ostrzydz, ubrać w drelich i wysłać na wieś. Żona moja pozbawiona została najlepszej służącej, ale nie było innego środka... nie można przecież tolerować w domu nieporządku... Chory członek należy odciąć odrazu. No, teraz, osądź pan sam, wszak znasz pan moją żonę? To przecież jest anioł... Wszak ona przywiązała się do Ariny i Arina wiedziała o tem, a jednak... w każdym razie, nie było co robić. Mnie, właściwie mnie, na długo zasmuciła niewdzięczność tej dziewczyny. Już to serca... uczucia... w tych ludziach nie szukać... Paś wilka jak chcesz, a on zawsze będzie patrzył na las... Nauka idzie naprzód; lecz ja chciałem tylko dowieść panu...

I pan Zwierkow, nie dokończywszy, odwrócił głowę i zawinął się szczelnie w swój płaszcz, mężnie pokonywając pomimowolne wzburzenie.

Teraz czytelnik zapewne zrozumie, dlaczego spojrzałem ze współczuciem na Arinę.

— Dawno jesteś za mężem, za młynarzem? — zapytałem ją nareszcie.

— Dwa lata.

— I pan twój zgodził się na to małżeństwo?

— Odkupili mnie.

— Kto?

— Sawelij Aleksiejewicz.

— Cóż to za jeden?

— Mój mąż. Czy pan mówił co panu o mnie?—
dodała Arina po krótkim milczeniu.

Nie wiedziałem, co jej na to odpowiedzieć.
Wtem — młynarz zawołał na nią i odeszła.

— Czy mąż jej dobry człowiek? — spytałem
Jermołaja.

— Niczego.

— Dzieci mają?

— Było jedno, lecz umarło.

— Cóż, czy ona się tak podobała młynarzowi,
czy co? Ile dał on za nią wykupu?

— A, nie wiem. Ona jest piśmienna. W ich
interesie młynarskim taka rzecz dobra, widać więc, że
się podobała...

— A ty ją dawno znasz?

— Dawno. Ja do jej państwa pierwszej chodzi-
łem. Ich osada niedaleko ztąd.

— A Pietruszkę, lokaja, znasz?

— Piotra Wasiliewicza? A jakże, znam.

— Gdzież on się teraz znajduje?

— Oddano go do wojska.

— Ona wydaje się niezdrowa.

— Jakie tam zdrowie! — A jutro, ja myślę, bę-
dziemy mieli ciąg dobry. Nie szkodziłoby, żeby pan
teraz usnął.

Stado dzikich kaczek, przemknęło nad nami i sły-
szeliśmy, jak zapadło na rzece, niedaleko od nas.
Ściemniało zupełnie i zaczęło się robić chłodno. W ga-
ju rozśpiewał się słowik. Zakopaliśmy się w siano
i zasnęli.

VII.

Hamlet powiatu Szczygrowskiego.

Podczas jednej z moich wycieczek, otrzymałem
zaproszenie na obiad do bardzo bogatego obywatela
i myśliwego, Aleksandra Michałowicza G... Majętność
jego znajdowała się o pięć wiorst od małej wioseczki,
w której się wówczas osiedliłem.

Ubrałem się we frak, bez którego nie radzę wy-
jeżdżać nikomu, nawet na polowanie, i udałem się do
Aleksandra Michałowicza.

Obiad miał być o godzinie szóstej. Ja przyje-
chałem o piątej i zastałem już mnóstwo szlachty
w mundurach, ubraniach cywilnych — i innych, mniej
dających się określić.

Gospodarz przyjął mnie bardzo łaskawie, lecz
w tej chwili wybiegł do innych pokoiów. Oczekiwał
on przybycia dygnitarza i uczuwał pewien niepokój,
nie licujący bynajmniej z jego bogactwem i niezale-
żnem położeniem w świecie.

Aleksander Michałowicz żonatym nigdy nie był
i kobiet nie lubił. Zbierało się u niego towarzystwo
kawalerskie. Prowadził dom na wielką skalę... Po-

większy i odświeżył komnaty dziadowskie wspaniale... sprowadzał corocznie z Moskwy za piętnaście tysięcy rubli wina i wogóle cieszył się największem poważaniem.

Aleksander Michałowicz z dawien dawna wziął dymisyę i nie dobijał się zaszczytów... Cóż więc zmuszało go do zapraszania dygnitarza i niepokojenia się od samego ranka w dzień uroczystego obiadu? To zostanie pokryte mrokiem niewiadomości, jak mawiał powien mój znajomy „striapczy”, kiedy go pytano: czy bierze kubany od osób, dających je dobrowolnie.

Rozstawszy się z gospodarzem, zacząłem chodzić po pokojach: prawie wszyscy goście byli mi nieznani; ze dwadzieścia osób już siedziało przy kartach.

W liczbie tych amatorów preferansa byli: dwaj wojskowi, o szlachetnych, lecz nieco zniszczonych obliczach; kilka osób cywilnych, w ciasnych, wysokich halsztukach i ze zwieszonemi, farbowanemi wąsami, jakie posiadają tylko ludzie stanowczy, lecz dobrze myślący (ci dobrze myślący z powagą zbierali karty i nie odwracając głowy, rzucali spojrzenia na zbliżających się); pięciu czy sześciu urzędników powiatowych, z okrągłemi brzuskami, tłustemi i spocnemi rączkami i skromnie nieruchomemi nóżkami (ci panowie mówili głosem miękkiem, uśmiechali się łagodnie na wszystkie strony, trzymali karty przy samych mankietach i, wygrywając atuty, nie stukali w stół, lecz przeciwnie, delikatnie puszczali karty na zielone sukno i składając lewy, sprawiali lekkie i bardzo przyzwoite skrzypienie).

Inni goście siedzieli na sofach, grupowali się przy drzwiach i koło okien. Jeden, już niemłody

obywatel, stał w kącie, czerwienił się, kręcił brelokiem od zegarka, zmieszany—choć nikt nie zwracał na niego uwagi; inni panowie, w zaokrąglonych frakach i kraciastych pantalonach, roboty moskiewskiego krawca, wiecznie cechowego majstra Firsza Klučina, rozprawiali żwawo i z ożywieniem, swobodnie obracając swemi tłustemi karkami; młody człowiek dwudziestoletni, trochę niedowidzący blondyn, od stóp do głów ubrany czarno, widocznie był zażenowany, lecz uśmiechał się złośliwie.

Zaczynało mi się trochę przykrzeć, gdy nagle przyłączył się do mnie niejaki Wojnicyn, niedouczonego młody człowiek, przebywający w domu Aleksandra Michałowicza w charakterze... nielato powiedzieć w jakim charakterze: umiał strzelać doskonale i tresować psy...

Znałem go jeszcze w Moskwie. Należał on do szeregu tych młodych ludzi, którzy bywało, na każdym egzaminie bawili się w „słupek”, tj. nie odpowiadali ani słowa na pytania professorów.

Tych panów, dla piękności stylu, nazywano także „bakenbardzistami”.

Robiło to się tak: wywołują, na przykład, Wojnicyna. Wojnicyn, który do tego czasu nieruchomo i prosto siedział na swojej ławce, oblewa się gorącym potem i powoli, lecz bezmyślnie wodząc dokoła oczami, wstaje, zapina mundur aż pod szyję i przybliża się do stołu egzaminatorów. „Niech pan weźmie bilet, rzecz z przyjemnym uśmiechem, professor. Wojnicyn wyciąga rękę i drżącemi palcami dotyka biletu”. „Niech pan raczy nie przebierać, wtrąca drżącym głosem asystent, rozdrażniony staruszek, professor z innego wy-

działu, staruszek, który nagle znienawidził nieszczęśliwego bakenbardzistę. Wojnicyn poddaje się swemu losowi, bierze bilet, pokazuje numer i idzie do okna namyślać się, zanim jego poprzednik odpowie na swoje pytanie. Przy oknie Wojnicyn nie spuszcza oka z biletu, chyba tylko po to, aby, jak wprawdzie, spojrzeć dokoła, a zresztą nie rusza się wcale. Nareszcie poprzednik skończył, mówią mu — „dobrze, może pan odejść” albo nawet „dobrze — bardzo dobrze,” stosownie do okoliczności. Wywołują Wojnicyna. Wojnicyn wstaje i pewnym krokiem zbliża się do stołu. „Przeczytaj pan bilet — mówią mu. Wojnicyn obydwojma rękami podnosi bilet do samego nosa, odczytuje go powoli i powoli opuszcza ręce”. „No, racz pan odpowiadać — mówi leniwie tenże professor, odsuwając się w tył i krzyżując ręce na piersiach. Następuje grobowe milczenie. „No cóż panie? Wojnicyn milczy. Asystenta staruszka aż coś podnosi.” „No, powiedzże pan co nareszcie... Mój Wojnicyn milczy jak umarły. Ostrzyżony jego kark sterczy nieruchomo przed wzrokiem wszystkich kolegów. Staruszkowi o mało oczy nie wyskoczą, znienawidził on ostatecznie Wojnicyna. „Jednak to rzecz dziwna, mówił drugi egzaminator — dlaczego pan stoisz jak niemy? Jeżeli nie umiesz, no to powiedz, że nie umiesz.” „Pozwólcie, panowie, wyciągnąć inny bilet.” Profesorowie patrzą jedni na drugich. No, bierz pan, mówi, machnąwszy ręką, główny egzaminator. Wojnicyn znów bierze bilet, znów idzie do okna, znów powraca do stołu i znów milczy jak zabity. Staruszek jest w stanie zjeść go żywcem. Nareszcie każą mu odejść i piszą zero. Czy sądzicie, że wyszedł z sali? Bynajmniej...

powraca na swoje miejsce, również nieruchomo siedzi do końca egzaminu, a wychodząc wykrzykuje: „to łaźnia, to łamigłówka!” I spaceruje cały dzień po Moskwie, od czasu do czasu biorąc się za głowę i przeklinając gorzko swój nieszczęsny los. Do książki, ma się rozumieć, nie zagląda — i na drugi dzień powtarza się ta sama historia. Otóż ten to Wojnicyn przyłączył się do mnie. Rozmawialiśmy o Moskwie, o polowaniu...

— Chcesz pan? — szepnął do mnie nagle — zapoznam pana z pierwszym dowcipnikiem tutejszym.

— Bądź pan łaskaw.

Wojnicyn przyprowadził mnie do człowieka maleńkiego wzrostu, z wysokim czubem i wąsami, w cynamonowym fraku i pstrym krawacie. Jego żółciowe, ruchliwe rysy twarzy rzeczywiście miały w sobie coś rozumnego i złośliwego. Gryzący uśmiech bezustanku krzywił mu wargi. Czarne, przymrużone oczy, wyglądały hardo z pod nierównych rzęs. Obok niego stał obywatel szeroki, miękki, słodki, zezowaty. On naprzód już śmiał się z dowcipów maleńkiego człowieka i aż topniał od tej przyjemności.

Wojnicyn przedstawił mnie złośliwcowi, który się nazywał Piotr Piotrowicz Łupichin. Poznajomiłmy się.

— A pozwól pan przedstawić sobie mego najlepszego przyjaciela — odezwał się nagle Łupichin ostrym głosem, chwyciwszy słodkiego szlachcica za rękę. — No, nie opierajże się, Kiriło Selifanowiczu — dodał — nikt pana nie ukąsi. Oto — ciągnął, podczas gdy zażenowany Kiriło Selifanowicz klaniał się tak niezręcznie, jakby mu brzuch odpadał — oto re-

komenduje: doskonały szlachcic, który do pięćdziesiątego roku życia cieszył się wybornem zdrowiem, potem zaś umyślił leczyć się na oczy i zzezowacił. Od tego czasu leczy swoich włościian z takim samym skutkiem... No, a oni, ma się rozumieć z oddaniem się...

— Co za... — rzekł Kiryło Selifanowicz i roześmiał się.

— Dokończ pan, mój przyjacielu, dokończ — podchwycił Łupichin — przecież mogą pana jeszcze wybrać na sędziego i wybiorą, zobaczysz pan. Myśleć za pana będą zapewne koledzy, ale trzeba jednak, na wszelki wypadek umieć wypowiedzieć i cudzą myśl. Może nagle przyjechać gubernator, zapyta dlaczego sędzia się jaka?... Przypuśćmy, odpowiedzą, że dostał ataku paraliżu; no, to powie: puśćcie mu krew—a przyznasz pan, że w pańskim położeniu to trochę nieprzyzwoicie.

Słodki szlachcic aż się pokładał.

— A co, jak się śmieje—ciągnął Łupichin, patrząc złośliwie na kołyszący się brzuch Kiryła Selifanowicza.— I dlaczego nie ma się śmiać? — dodał, zwracając się do mnie. — Syty, zdrow, dzieci niema, chłopów nie zastawił, leczy ich, żona ma trochę bzika. (Kiryło Selifanowicz odwrócił się trochę, udając, że nie słyszy i śmiał się ciągle). I ja się także śmieję... a moja żona uciekła z geometrą! Nie wiedziałeś pan o tem? A jakże!... Tak, wzięła i uciekła i list do mnie zostawiła: „Kochany Piotrze — pisze — wybacz; oddalam się z przyjacielem mego serca...” A geometra z tego jej się podobał, że nie obcinał pazurek i nosił pantalone na strzemiączkach. Dziwisz

się pan i myślisz: oto człowiek szczególnie otwarty! Mój Boże! my, stepowcy, lubimy matkę-prawdę: jednak odejdźmy na bok, co mamy stać koło przyszedłego sędziego? Wziął mnie za rękę i odeszliśmy do okna.

— Słynę ja tutaj za dowcipnego człowieka — rzekł do mnie podczas rozmowy—niech pan temu nie wierzy; ja jestem tylko człowiek zgryziony i wymyślam ludziom głośno. I w samej rzeczy, co mam robić ceremonie? Cudze zdanie dla mnie grosza nie warto. Nie dobijam się niczego, a że zły jestem, cóż ztąd? Człowiek zły przynajmniej nie potrzebuje rozumu; a jak to przyjemnie pan nie uwierzy: oto, na przykład, spojrzysz pan na naszego gospodarza, dlaczego on tak biega, na zegarek spogląda, uśmiecha się, poci, przybiera bardzo poważną minę i nas mórzy głodem? Wielka mi rzecz, dygnitarz! Oto znów pobiegnął, patrz pan... i Łupichin rozśmiał się złośliwie.

— Żle, że nie ma pań—ciągnął z głębokim westchnieniem — obiad kawalerski, coś mi to za przyjemność? Patrz pan, patrz — zawołał nagle — idzie księżę Kozielski, ten wysoki mężczyzna z brodą, w żółtych rękawiczkach. Zaraz widać, że bywał za granicą — zawsze tak późno przyjeżdża. On jeden jest tak głupi, jak para koni kupieckich, a gdybyś pan widział, jak pobłażliwie z nami rozmawia, jak wspaniałomyślnie raczy się uśmiechać na komplimenta naszych mam i córek. Sam dowcipkuje niekiedy... i jak dowcipkuje, jakby tępym nożem postronek piłował!... On mnie nie może znosić i dlatego pójdę się z nim przywitać.

I Łupichin pobiegł na przywitanie księcia.

— A oto idzie mój wróg osobisty—rzekł, powróciwszy do mnie.—Widzi pan tego grubego człowieka, z twarzą burą i szpeciną na głowie. Ten oto, co czapkę w rękę mnie, pod ścianą się przesuwa i ogląda się na wszystkie strony, jak wilk. Sprzedałem mu za czterysta rubli konia, który był wart tysiąc i ta marna istota wyobraża sobie, że ma teraz prawo pogardzać mną, a tymczasem do tego stopnia pozbawiony jest zdolności kombinowania, szczególniej rano, przed herbata, albo zaraz po obiedzie, że, gdy mu rzec: „jak się masz?”—on odpowiada: „czego?”—A oto idzie generał—ciągnął Łupichin—cywilny generał, ma córkę z cukru burakowego i cukrownię skrofuliczną. Przepraszam, wyrazy się pomieszały, ale pan i tak zrozumiał. A! i architekt tu! Niemiec, a z wąsami i sztuki swej nie zna! Zresztą na co ma znać sztukę, aby tylko łapówki brał i kolumn, słupków stawiał jak najwięcej dla naszych rodowitych szlachciców...

Łupichin znów się rozśmiał.

Nagle jakiś szmer przebiegł po całym domu.

Dygnitarz przyjechał!

Gospodarz wybiegł do przedpokoju, za nim kilku domowników i gorliwszych, gości.

Szumna, głośnie rozmowa zamieniła się na miękki, przyjemny szmerek, podobny do wiosennego brzęczenia pszczoł w ulu. Jedna tylko niepokorna osa Łupichin i wspaniały truteń Kozielski nie znizyli głosu.

I oto weszła nareszcie matka... wszedł dygnitarz... Serca pobiegły na jego spotkanie. Siedzące

tułowie podniosły się... Nawet ten obywatel, który od Łupichina kupił tanio konia, nawet ten utkwiał podbródek w kamizelce...

Dygnitarz doskonale zachowywał swoją godność: kiwał głową, jakby kłaniając się, wymówił kilka przychylnych wyrazów, z których każdy zaczynał się od litery *a*, a wypowiedziany był przeciągle i przez nos;—z oburzeniem popatrzył na brodę księcia Kozielskiego, a zrujnowanemu generałowi cywilnemu z córką i z cukrownią podał wskazujący palec lewej ręki.

Po kilku minutach, w ciągu których dygnitarz zdążył zauważyć dwukrotnie, iż jest bardzo rad, że się na obiad nie spóźnił, całe towarzystwo, z tuzami na czele, udało się do sali jadalnej.

Czy mamy opowiadać czytelnikowi, jak posadzili dygnitarza na pierwszym miejscu, między generałem cywilnym i gubernialnym marszałkiem szlachty, człowiekiem z godnym wyrazem twarzy, zupełnie odpowiednim do jego wykrochmalonego gorsu, niezmierzonej kamizelki i okragłej tabakierzy z francuską tabaką?

Czy mam opowiadać, jak gospodarz kłopotał się, biegał, częstował gości, mimochodem uśmiechał się do pleców dygnitarza lub stojąc w kącie, jak uczeń, w pośpiechu zjadał talerz zupy lub kawałek mięsa; jak kamerdyner podał rybę półtora arszynowej długości, z bukietem w pysku; jak lokaje w liberyach, surowi z pozoru, ponuro przysuwali się do każdego szlachcica, to z malagą, to z drymadeirą i jak wszyscy prawie goście, szczególnie starsi, jak gdyby nie chcąc, poddawali się jednak poczuciu obowiązku

i wypijali kieliszek za kieliszkiem. Jak nareszcie wystrzeliły butelki szampańskiego i zaczęto wygłaszać toasty?! Wszystko to, zapewne dobrze czytelnikom jest znane.

Lecz szczególnie godną uwagi wydała mi się anegdota, opowiedziana przez samego dygnitarza, wśród ogólnego i radosnego słuchania. Ktoś, zdaje mi się, że generał, człowiek obznajmiony z najnowszą literaturą, wspominał o wpływie kobiet na społeczeństwo wogóle, a na młodych chłopców w szczególności.

— Tak, tak—potwierdził dygnitarz—to prawda: młodych ludzi trzymać trzeba w surowem posłuszeństwie, inaczej bowiem, na widok spódnicy, rozum tracą. (Dzieciennie wesoły uśmiech przebiegł po twarzach gości, w oczach jednego obywatela zadrgała nawet łza wdzięczności).

— Albowiem młodzi ludzie są głupi. Oto ja, na przykład, mam syna Iwana. Zaledwie, dureń, zaczął dwudziesty rok, nagle przychodzi do mnie i mówi: — ojczu, pozwól mi się ożenić — a ja mówię do niego: — głupiec jesteś! naprzód trzeba trochę posłużyć; no, rozpacz... łzy... ale u mnie... tego...

Wyraz „tego” — dygnitarz wymówił więcej brzuchem niż ustami — zamilkł i spojrzał na swego sąsiada generała, przyczem podniósł brwi daleko wyżej niż się można było spodziewać. Cywilny generał przyjemnie pochylił głowę nieco na bok i nader szybko zaczął mrugać okiem, zwróconem do dygnitarza.

— No i cóż—mówił dygnitarz—teraz on sam pisze do mnie: „Bóg zapłać ojczu, żeś mnie głupiego, rozumu nauczył...” Tak oto postępować należy.

Wszyscy goście, ma się rozumieć, zupełnie podzielali zdanie opowiadającego i ożywili się pod wpływem przyjemności i nauki moralnej.

Po obiedzie całe towarzystwo podniosło się i przeszło do sali, z wielkim, lecz jednak przyzwolonym i, jakby na ten wypadek dozwolonym, hałasem.

Usiedli do kart.

Doczekałem się jakoś wieczoru i, poleciwszy swojemu stangretowi, aby nazajutrz zaprzął do bryczki około piątej godziny rano, udałem się na spoczynek. Lecz tego samego jeszcze dnia wypadło mi poznać pewnego, zasługującego na uwagę, człowieka.

Z powodu bardzo licznego zjazdu gości, nikt nie spał sam. W niewielkim i wilgotnym pokoiku, do którego mnie wprowadził kamerdyner Aleksandra Michałowicza, znajdował się już inny gość, rozebrany zupełnie. Zobaczywszy mnie, skoczył zgrabnie pod koldrę, nakrył się nią aż do nosa, trochę pokręcił się na miękkim piernacie i bacznie spoglądał z pod na same oczy nasuniętej, bawelnianej szlafmocy. Ja zbliżyłem się do drugiego łóżka (było ich dwa w pokoju), rozebrałem się i położyłem na wilgotnem prześcieradle. Sąsiad mój kręcił się na swem posłaniu: powiedziałem mu dobranoc.

Przeszło pół godziny; pomimo wszelkich usiłowań, nie mogłem zasnąć. Nieskończonym szeregiem różne myśli niepotrzebne i niejasne cisnęły się do głowy uporczywie, niby wiadra maszyny ciągnącej wodę.

— Zdaje mi się, że pan nie śpi—odezwał się mój sąsiad.

— Jak pan widzi, lecz i pan nie śpi także.

— Ja, bo nigdy spać nie mogę.

— Jakżeż to?

— A tak: zasypiam sam nie wiem dlaczego, leżę, leżę i czasem zasnę.

— W takim razie pocóż się pan kładzie, jeżeli panu spać się nie chce?

— A cóż mam robić?

Nie odpowiedziałem na to pytanie mego sąsiada.

— Dziwi mnie—rzekł po krótkim milczeniu — dlaczego tu nie ma pcheł. A zdaje się, gdzieżby być mogły, jeżeli nie tu?

— Tak to wygląda, jakbyś pan żałował, że ich nie ma.

— Nie, nie żałuję, ale we wszystkim lubię konsekwencję.

Oho! pomyślałem sobie, jakich wyrazów używał! Sąsiad znów milczał.

— Chcesz się pan ze mną założyć? — rzekł po chwili dość głośno.

— O, co?

Mój sąsiad zaczął mnie bawić.

— Hm, o co? Jestem przekonany, że masz mnie pan za głupca.

— Zmiłujże się pan—zawołałem z podziwem—z kąd?

— Za stepowca, nieokrzesanego, przyznaj pan.

— Nie mam przyjemności znać pana, z kądże więc możesz pan wnosić...

— Z kąd? po dż.więku pańskiego głosu. Odpowiada mi pan tak niedbale... a ja wcale nie jestem taki, jak pan myśli.

— Ależ — pozwól pan.

— Nie; niech pan pozwoli. Naprzód: ja mówię po francusku nie gorzej od pana, a po niemiecku nawet lepiej; powtóre, trzy lata przepędziłem za granicą; w Berlinie przemieszkiałem osiem miesięcy. Ja przestudyowałem Hegla, Goethego umiem na pamięć, prócz tego, byłem długo zakochany w córce niemieckiego profesora i ożeniłem się w kraju, z panią suchotnicą, łysą, lecz bardzo godną uwagi osobistością. Ztąd wynika, że jestem jagódka z waszego pola, a nie stepowiec, jak pan sobie wyobraża... mnie także zagryza refleksja i niema we mnie nic bezpośredniego.

Podniosłem głowę i z podwójną uwagą spojrzałem na oryginała. Przy bladym świetle nocnej lampki ledwie że mogłem dostrzedz rysy jego twarzy.

— Aha! teraz pan na mnie patrzysz i bezwątpienia zapytujesz w duchu sam siebie, jakim sposobem stać się to mogło, żeś mnie nie zauważył dzisiaj. Ja panu wytłomaczę dlaczego: oto dlatego, że ja nigdy nie podnoszę głosu, że zawsze się chowam za innych, stoję za drzwiami, z nikim nie rozmawiam; że lokaj z tacą, przechodząc koło mnie, zawczasu podnosi swój łokieć do wysokości mej piersi, a dlaczego się to wszystko dzieje... dla dwóch przyczyn: raz że jestem biedny, a powtóre żem spokojniaki. Powiedz pan prawdę, że mnie nie zauważyłeś...

— Rzeczywiście nie miałem przyjemności.

— No tak, tak—przerwał—ja wiedziałem o tem.

Podniósł się i skrzyżował ręce na piersiach. Długi cień jego szlafmicy przeszedł ze ściany aż na sufit.

— Przyznaj pan jednak—dodał—że muszę wy-dawać się w oczach pańskich wielkim dziwakiem,

jak to mówią, oryginałem, albo też czemś jeszcze gorszem; być może także, iż sądzisz pan, że ja dziwaka udaję...

— Muszę panu znów powtórzyć, że pana nie snam.

— Dlaczego ja z panem, człowiekiem nieznanym mi zupełnie, tak się rozgawędziłem, Pan Bóg jeden wie (westchnął), czy to nie wskutek powinowactwa naszych dusz? I pan i ja jesteśmy porządni ludzie, tj. egoiści. Ani pan do mnie, ani ja do pana nie mam najmniejszego interesu, czyż nie tak? Lecz obadwaj zasnąć nie możemy, dlaczegóż nie pogawędzić? Ja jestem w usposobieniu, a to mi się rzadko zdarza. Widzisz pan, jestem nieśmiały, a nieśmiały nie dlatego, że jestem prowincjonalista, bez rangi, biedak, lecz dlatego, że jestem człowiek strasznie samolubny. Czasem jednak, pod wpływem sprzyjających okoliczności, których zresztą ani określić, ani przewidzieć nie jestem w stanie, nieśmiałość moja znika zupełnie, ot jak teraz na przykład. Teraz postaw mnie pan oko w oko choćby przed samym Dalej-Lamą, a ja go poproszę, żeby mnie poczęstował tabaką. Lecz panu zapewne chce się spać?

— Przeciwnie, bardzo mi przyjemnie rozmawiać z panem.

— To jest, chcesz pan powiedzieć, że pana zabawiam; tem lepiej... Otóż, powiem panu, że tu zaszczycają mnie nazwą oryginała, ci, którym wypadkowym sposobem, między innemi drobiazgami, imię moje przyjdzie na myśl. Myślą tym sposobem mnie dotknąć... Boże, gdyby oni wiedzieli, że ja właśnie ginę wskutek tego, że nie mam w sobie nic a nic

oryginalnego. Nic, oprócz takich wybryków, jak na przykład dzisiejsza moja rozmowa z panem; ale wszak te wybryki nie są warte złamanego grosza! Jest to najtańszy i najniższy rodzaj oryginalności.

Obrócił się twarzą do mnie i machnął rękami.

— Szanowny panie — zawołał — ja jestem tego zdania, że wogóle jednym tylko oryginałom na świecie dobrze: oni mają prawo do życia. *Mon verre n'est pas grand, mais je bois dans mon verre* — powiedział ktoś. Widzisz pan — dodał półgłosem — jak ja dobrze wymawiam wyrazy francuskie. Cóż ci z tego, że masz głowę wielką, pakowną, że rozumiesz wszystko, umiesz wiele, idziesz za wiekiem — ale swojego szczególnego, własnego nie masz nic! Na świecie jest więcej o jeden składzik ogólników i co komu z tego za pociecha? Nie; bądź głupi, ale po swojemu! Miej swój zapach, swój własny zapach — i nie myśl pan, żeby wymagania moje co do tego zapachu były wielkie; takich oryginałów jest moc... gdzie spojrzeć, oryginał... każdy żyjący człowiek oryginał. A ja jednak nie jestem w ich liczbie!

— Tymczasem — ciągnął znów po krótkim milczeniu — w młodości mojej jakież budziłem nadzieje, jakie sam miałem wysokie wyobrażenie o sobie, przed wyjazdem za granicę i w pierwszym czasie po powrocie! O, za granicą trzymałem się ostro, torowałem sobie drogę sam, jak wszyscy nasi, którzy wszystko starają się zrozumieć, a pokazuje się w końcu, że nie rozumieją ani *a*, ani *b*.

— Oryginał, oryginał — powtarzał, kiwając głową — nazywają mnie oryginałem, a w rzeczy samej niema na świecie człowieka mniej oryginalnego nad

pańskiego pokornego sługę. Przypuszczam, że urodziłem się, naśladowując kogoś, dalibóg; żyję również jakby naśladowując różnych, wystudowanych przeze mnie autorów, żyję w pocie czoła; a uczyłem się, kochałem i ożeniłem się nareszcie, jakby nie z własnej woli, lecz jakby wykonywając jakiś czy to obowiązek, czy lekcję, kto tam dojdzie!

Zerwał szlafmycę z głowy i rzucił ją na posłanie.

— Chcesz pan, opowiem panu moje życie, albo lepiej kilka szczegółów z mego życia.

— Bardzo proszę.

— Albo nie, opowiem panu lepiej, jak się ożeniłem. Wszak ożenienie się rzecz ważna, to kamień probierczy całego człowieka, w niem on odbija się, jak w zwierciadle... lecz to porównanie jest zbyt oklepane. Pozwól pan, zażyję tabaki.

Wydobył z pod poduszki tabakierkę, otworzył ją i zaczął znów mówić, wymachując otwartą tabakierką.

— Szanowny panie, chciej wejść w moje położenie... osądź pan sam... jaki, ale jaki mogłem wyciągnąć pożytek z encyklopedyi Hegla? Powiedz pan, co jest wspólnego pomiędzy tą encyklopedyą i ruskim życiem i jak każesz zastosować ją do naszego bytu—i nie tylko jedną encyklopedyę, ale wogóle filozofię niemiecką... powiem więcej — naukę?

Podskoczył na pościeli i zaczął mruścić półgłosem, zaciskając zęby ze złości.

— A więc dlaczegoś włóczyłeś się za granicę? Dlaczegoś nie siedział w domu i nie badał otaczającego cię życia na miejscu. Poznałbyś jego potrzeby

i przyszłość, a i o swoim, że się tak wyrażę „powołaniu“ nabrałbyś jaśniejszego pojęcia... Lecz zmiłuj się pan — ciągnął dalej, znów zmieniawszy głos, jak gdyby tłumacząc się i usprawiedliwiając — gdzież kto z nas może studyować to, czego jeszcze ani jeden mędrzec nie wpisał w księgę? Bardzo byłbym rad brać lekcye od niego, od ruskiego życia, ale ono milczy, kochane! Zrozumiej mnie, mówi ono i tak; a ja na to nie mam siły; dajcie mi wnioski, przedstawcie konkluzyę... konkluzyę? Oto masz konkluzyę! posłuchaj naszych moskiewskich — śpiewają jak słowiki. Ale to właśnie nieszczęście, że świszczą jak kurskie słowiki, a mówią nie po ludzku. Oto i pomyślałem sobie, pomyślałem: wszakże nauka, zdaje się, wszędzie jedna i prawda jedna, więc puściłem się z Bogiem w obce strony, do „niechrzczeńców...“ Co pan chce, młodość, hardość, nie chciało się przed czasem zapłynąć tłuszczem, chociaż to, jak mówią, zdrowo, ale zresztą, komu natura nie dała mięsa, ten i tłuszczu na swoim ciele nie zobaczy.

— Jednak — dodał, pomyślawszy trochę — zdaje mi się, że obiecałem panu opowiedzieć, jakim sposobem ożeniłem się. Niechże pan posłucha: Naprzód, oświadczam panu, że żony mojej już niema na świecie, a powtóre... powtóre, widzę, że będę musiał opowiedzieć panu moją młodość, bo inaczej nic pan nie zrozumiesz... Czy panu nie chce się spać?

— Nie.

— To bardzo pięknie... Niech pan posłucha, oto w sąsiednim pokoju pan Kantagriuchin tak nie po szlafchecku chrapie. Jestem synem niebogatych rodziców, mówię rodziców, dlatego, że według podania, oprócz

matki, miałem także i ojca. Ja go nie pamiętam. Mówią, że był to człowiek dość ograniczony, z wielkim nosem i krostami na czole, rudy i pchał tabakę stale w jedną tylko dziurkę od nosa. W sypialnym pokoju matki wisiał jego portret: w czerwonym mundurze z czarnym kołnierzem po same uszy, nadzwyczajnie brzydki. Kiedy mnie koło tego portretu prowadzono do bicia, matka w takich wypadkach zawsze pokazywała na niego, mówiąc: on by cię jeszcze lepiej! Nie miałem ani brata, ani siostry, t. j. prawdę mówiąc, miałem braciszka, z angielską chorobą w karku, ale ten wcześniej umarł... i po co angielska choroba przywlokła się aż do Kurskiej gubernii, do Szczygrowskiego powiatu? Ale nie o to idzie. Wychowaniem mojem zajmowała się matka, z gorącym zapalem obywatelki stepowej. Zajmowała się od dnia mego urodzenia aż do chwili, w której skończyłem lat szesnaście. Czy pan słucha mego opowiadania?

— A jakże, słucham, mów pan dalej.

— No, dobrze. Otóż z chwilą, kiedy skończyłem lat szesnaście, matka moja, bez najmniejszej zwłoki, wypędziła mego guwernera francuskiego, Niemca Filipowicza z greków nieżyńskich, zawiozła mnie do Moskwy, zapisała do uniwersytetu i niezadługo potem oddała Bogu ducha, zostawiwszy mi opiekuna w osobie rodzonego mego wujaszka, „strapczego”, Kołtuna-Babury, ptaszka, znanego nie tylko w jednym powiecie Szczygrowskim.

Rodzony wujaszek mój, pan Kołtun-Babura, jak to się niekiedy trafia, ograbił mnie na czysto, lecz znów nie o to idzie. Wstąpiłem do uniwersytetu, trzeba oddać sprawiedliwość mej rodzicielce, przygo-

towany dość dobrze, lecz już i wtedy można było zauważyć we mnie brak oryginalności. Dzieciństwo moje nie odróżniało się niczem od dzieciństwa innych osób, rosnę tak samo głupio i powoli, zupełnie jak pod pierzyną, również wcześniej zacząłem się uczyć wierszy na pamięć i kwaśnieć pod pozorem skłonności marzycielskiej... do czego? do tego, co piękne... i tak dalej. W uniwersytecie nie poszedłem inną drogą, natychmiast wpadłem w „kółko”. Wówczas były inne czasy... Ale pan może nie wie, co to jest kółko? Przypominam sobie, że Szyller gdzieś powiedział:

Gefährlich ist's den Leu zu wecken,
Und schrecklich ist des Tigers Zahn,
Doch das schrecklichste der Schrecken—
Das ist der Mensch in seinem Wahn!"

Zapewniam pana, że on nie to chciał powiedzieć; on chciał powiedzieć: Das ist ein* „kółko”... in der Stadt Moscau.

— Cóż pan znajdujesz tak przerażającego w kółku?

Sąsiad mój porwał swoją szlafmycę i nasadził ją sobie aż po sam nos.

— Co widzę strasznego?! — zawołał—ależ kółko to zguba wszelkiego samodzielnego rozwoju. Kółko to brzydka, potworna zamiana towarzystwa, kobiety, życia; kółko, o! poczekaj pan, ja powiem panu, co to jest kółko! To leniwe, marne życie, razem i w rzędzie; życie, któremu przypisują znaczenie i pozór rzeczy rozumnej: ono zamienia rozmowę rozstrząsaniem, przyucza do bezpłodnej gadaniny, odciąga od samotnej, owocnej pracy; zaszczepia świerzbę literacką, pozbawia narzeczcie świeżości i dziewiczej mocy duszy. Kółko —

to pospolitość i nuda, pod nazwą braterstwa i przyjaźni; złączenie nieporozumień i pretensyj, pod pozorem otwartości i współczucia; w kółku, dzięki prawu każdego przyjaciela, o każdym czasie i każdej godzinie zapuszczać brudne palce we wnętrzości kolegi, nikt nie ma w duszy czystego, nietkniętego miejsca. W kółku czczą pustego gadułę, samolubnego mędrka, przedwczesnego starca; noszą na rękach niezdarnego wierszoroeba, mającego w sobie „myśli utajone”. W kółku siedemnastoletni malcy rozprawiają o kobietach i miłości, a wobec kobiet milczą, albo mówią z nimi jak z książką. I o czym mówią! W kółku kwitnie przewrotne krasomówstwo, w kółku jeden drugiego pilnuje i śledzi nie gorzej od urzędników policyjnych... O! kółko, tyś nie kółko, tyś zaczarowane koło, w którym zginął niejeden porządny człowiek.

— No, zdaje mi się, że pan wpada w przesadę—przerwałem.

Sąsiad spojrzał na mnie.

— Być może, Bóg wie, być może. Ale też dla mnie ta jedna tylko została przyjemność—przesadzanie. Otóż takim sposobem przebyłem w Moskwie cztery lata. Nie jestem w stanie opisać szanownemu panu, jak prędko, jak strasznie prędko przeszedł ten czas, smutno nawet wspominać. Bywało, wstanę rano i lecę, jakby z góry na sankach, ledwiem się obejrzał, już przyleciałem, już i wieczór, już i zaspany służący podaje surdut, już ubieram się i wlokę do przyjaciela; tam palę fajkę, piję, szklanka po szklance, herbatę, rozprawiam o filozofii niemieckiej, o miłości, o wiecznym słońcu ducha i innych oderwanych przedmiotach; lecz i tu spotykałem oryginalnych, samo-

dzielnym ludzi. Niejeden, chociaż się łamał, chociaż się giał w kabłąk, a jednak natura brała górę, ja tylko nieszczęsny ulepiełem samego siebie jakby miękki wosk, a marna moja natura nie stawiała najmniejszego oporu. Tymczasem skończyłem lat dwadzieścia jeden; objąłem w posiadanie moje dziedzictwo, a właściwie tę część dziedzictwa, którą mój opiekun zostawić mi raczył, dałem plenipotencję do zarządu majątku niejakiemu Kudraszewowi i pojechałem za granicę, do Berlina. Za granicą przebyłem, jakem to już miał honor powiedzieć, trzy lata, I cóż? za granicą pozostałem taką samą nieoryginalną istotą.—Przedewszystkiem, niema nawet o czym mówić, że właściwie Europy, bytu europejskiego, nie poznałem ani troszeczkę. Słuchałem profesorów niemieckich i czytałem niemieckie książki na miejscu ich urodzenia. Oto i cała różnica! Życie prowadziłem samotne, jakby jaki mnich. Spotykałem niepojętne rodziny z Penzy i innych zbozorodnych gubernij. Włóczyłem się po kawiarniach, czytałem dzienniki, a wieczorami chodziłem do teatru. Z krajowcami znałem się mało. Żaden z nich u mnie nie bywał, za wyłączeniem dwóch lub trzech, narzuających się młodzieńców, pochodzenia żydowskiego, którzy odwiedzali mnie niekiedy i pożyczali odemnie pieniądze, kontenci, że „der Russe“ im wierzy.

Dziwny kaprys wypadku zaprowadził mnie na koniec do domu jednego z moich profesorów. Przyszedłem do niego zapisać się na kurs, a on zaprosił mnie do siebie na wieczór. Miał ten profesor dwie córki; dwudziestokilkoletnie, nosy miały wspaniałe, włosy w loczkach, oczy blado-niebieskie, a ręce czer-

wone z białymi paznogciami. Jedną nazywali Linchen, drugą Minchen. Zacząłem bywać u profesora. Trzeba panu wiedzieć, że ten profesor był, nie powiem głupi, lecz jakby potłuczony; z katedry mówił dość logicznie, a w domu bąkał i okulary ciągle trzymał na czole, przytem był człowiek najuczeńszy. I cóż? Nagle zdawało mi się, że zakochałem się w Linchen. Przez całe sześć miesięcy tak mi się zdawało. Rozmawiałem z nią, co prawda, mało, więcej patrzyłem na nią. Czytywałem jej głośno różne wzruszające utwory, ukradkiem ścisnąłem jej rękę, a wieczorami marzyłem obok niej, patrząc uporczywie w księżyc, a gdy nie było księżycy, wprost w górę; przytem ona doskonale gotowała kawę. Zda się, czegoż więcej? Jedno mnie tylko martwiło: oto w chwilach niewysłowionego szczęścia coś mnie ciągle ssało w dołku i zimny dreszcz przebiegał po żołądku. Nareszcie nie wytrzymałem tej rozkoszy i uciekłem. Dwa lata jeszcze przepędziłem potem za granicą. Byłem we Włoszech; w Rzymie stałem przed Przemienieniem, we Fiorencyi przed Wenerą. Nagle wpadałem w przesadzony zachwyt, wieczorami pisywałem wierszyki, zaczynałem dziennik, jednym słowem i tu robiłem to co i wszyscy, a jednak uważaj pan, jak łatwo być oryginalnym: ja na przykład, nic a nic się nie znam na malarstwie, ani na rzeźbie. Dlaczegoż nie miałbym powiedzieć tego wprost, głośno. A, nie, jakżeż można, bierz „cicerone“ i pędź oglądać freski!

Znów zrzucił z głowy szlafmycę.

— Otóż powróciłem nareszcie w strony rodzinne — ciągnął zmęczonym głosem — przyjechałem do

Moskwy.' W Moskwie zaszła we mnie zmiana zadziwiająca. Za granicą przeważnie milczałem, tu nagle zacząłem mówić nader śmiało i jednocześnie myślałem o sobie Bóg wie co! Znaleźli się ludzie pobłażliwi, którym wydałem się prawie geniuszem! Damy z przyjemnością słuchały moich tyrad; ale nie umiałem utrzymać się na wysokości mej sławy. Pewnego pięknego poranku rozeszła się o mnie plotka (kto ją puścił w świat — nie wiem: zapewne jakaś stara panna płci męskiej, a takich starych panien w Moskwie nie brak), otóż zrodziła się ta plotka na mnie i zachęła puszczać pędy i wąsiki, jak poziomka. Chciałem rozerwać te przyczepiające się nitki, ale nie mogłem — wyjechałem. Pokazało się, że zrobiłem głupstwo; trzeba było spokojnie przeczekać tę napaść, tak jak się wyczekuje końca febry i ciż sami pobłażliwi ludzie otworzyliby mi swoje objęcia, te same damy uśmiechałyby się, słysząc moją wymowę; ale w tem całe nieszczęście, że nie jestem człowiekiem oryginalnym! Nagle przebudziła się we mnie sumienność; poprostu, wstyd mi było pleść — pleść dzisiaj tu, jutro tam, a ciągle o tem samem. Ale jeżeli tego żądają! Przypatrz się pan tylko naszym oratorom na tem polu; dla nich wszystko nic, tego im tylko trzeba; niektórzy dwadzieścia lat pracuje językiem w jednym i tym samym kierunku... Co znaczy pewność siebie i miłość własna! I we mnie była także miłość własna i dotąd nawet nie pozbyłem się jej zupełnie. Oto właśnie źle, że mów powtórzę, nie jestem człowiek oryginalny. Zatrzymałem się w środku drogi. Natura powinna była dać mi daleko więcej miłości własnej, albo nie dać mi jej wcale. Lecz w pier-

wszych chwilach było mi rzeczywiście trudno, przytem i wyjazd za granicę wyczerpał ostatecznie moje fundusze, zaś z kupcówną, o młodem, lecz wątłem ciele, w rodzaju galarety, nie chciałem się żenić. Pojechałem do siebie na wieś. Zdaje się — dodał — spojrzawszy na mnie z boku, że mogę pominąć milczeniem pierwsze wrażenia życia wiejskiego; wzmianki o piękności natury, cichej rozkoszy samotności itd.

— Może pan — odrzekłem.

— Tembardziej — ciągnął mój sąsiad — że to wszystko jest głupstwo, przynajmniej o ile mnie dotyczy. Ja na wsi nudziłem się, jak szczeniak w zamknięciu, chociaż, przyznam się, że kiedy po raz pierwszy, na wiosnę, przejeżdżałem przez gaj brzozowy, zakręciło mi się w głowie i uderzyło serce jakąś niejasną, słodką nadzieją. Lecz te jasne nadzieje, jak pan sam wiesz, nigdy się nie spełniają, spełniają się zaś inne rzeczy, których nie spodziewaliśmy się wcale, jak pomór na bydło, zaległości podatkowe, sprzedaże przez licytacje i t. d. Grzebałem się jakoś z dnia na dzień, przy pomocy burmistrza Jakóba, który zastąpił poprzedniego mojego rządcę i był, jak się pokazało później, takim samym grabieżcą, jak jego poprzednik, jeżeli nie większym. Oprócz tego ten człowiek zatruwał moje istnienie wonią swych, dziegiem wysmarowanych butów. Jednego razu przypomniałem sobie o znajomej rodzinie w sąsiedztwie; rodzinie, składającej się z dymisyonowanej pułkownikowej i dwóch jej córek. Kazalem zaprządz konie i pojechałem do tych pań. Dzień ten zostanie mi na całe życie pamiętnym, albowiem, w sześć miesięcy później, ożeniłem się z młodszą córką pułkownikowej.

Pochylił głowę i wznosił rękę ku niebu.

— Jednak — ciągnął z zapalem — nie chciałbym, żebyś pan miał złe pojęcie o nieboszczce: była to istota najszlachetniejsza, najlepsza, kochająca i zdolna do wszelkich ofiar; chociaż przyznaję, że gdybym nie miał nieszczęścia jej utracić, nie rozmawialibyśmy teraz z sobą, albowiem jeszcze dotychczas istnieje w mojej stodole belka, na której niejednokrotnie chciałem się powiesić. Tak panie, jest pewien gatunek gruszek, które muszą przez jakiś czas poleżeć w piwnicy, pod ziemią, aby nabrały właściwego smaku, otóż, zdaje się, że żona moja należała właśnie do takich tworów natury. Teraz dopiero oddaję jej zupełną sprawiedliwość, teraz dopiero wspomnienia o niektórych wieczorach, przepędzonych z nią razem, jeszcze przed ślubem, nie tylko nie wzbudzają we mnie najmniejszej goryczy, lecz przeciwnie, wzruszają prawie do łez. Byli to ludzie niebogaci: dom ich stary, drewniany, lecz wygodny, wznosił się na górze, pomiędzy zdziczałym ogrodem i zarosłym trawą dziedzińcem. Pod górą płynęła rzeka, którą ledwie można było dojrzeć przez gęstwinę ogrodu. Z domu do ogrodu prowadził taras, przed tarasem był klomb podługowaty, okryty różami, na każdym końcu klombu rosły akacje, splecione w młodości jedna z drugą, przez nieboszczyka właściciela; nieco dalej w gęstwinie malin stała altanka, bardzo fantastycznie pomalowana w środku, ale tak stara i wątła na zewnątrz, że przykro było na nią patrzeć. Z tarasu drzwi oszklone prowadziły do sali, tam w kątach stały piece kaflowe, na prawo rozklekotany fortepian, zawalony rękopiśmiennymi nutami, sofa, obita spło-

wiała niebieską materyą w białe pasy, stół okrągły, dwie etażerki z zabawkami porcelanowymi z czasów Katarzyny; na ścianie portret jasnowłosej dziewczycy, z gołąbkim w ręku i przewróconemi oczami. Na stole wazon, pełen świeżych róż. Widzi pan, jak szczegółowo opisuję. W tej to sali, na tym tarasie rozegrała się cała tragi-komedia mojej miłości. Sama sąsiadka była to baba zła, z ciągłą chrypką gniewu w gardle, istota przykra i swarliwa. Z córek jedna, Wiera, nie różniła się niczem od zwykłych powiatowych panien, druga zaś, Zofia—ja zakochałem się w Zofii. Siostry miały jeszcze jeden pokój, była to ich sypialnia, z dwoma niewinnemi, drewnianemi łózkami, z żółtymi albumami, z rezedą, z portretami przyjaciół i przyjaciółek, rysowanemi ołówkiem dość marnie, z biustami Goethego i Szyllera, książkami niemieckimi, zeszlęmi wiankami i innemi przedmiotami, zostawionemi na pamiątkę. Do tego pokoju wchodziłem rzadko i niechętnie; nie mogłem tam oddychać. Przytem, rzecz szczególna, Zofia najwięcej mi się podobała wtenczas, kiedy byłem odwrócony do niej plecami, albo też, kiedy rozmyślał i marzył o niej, zwłaszcza wieczorem na tarasie; patrzyłem wówczas na niebo, na drzewa, na drobne listki zielone; w sali przy fortepianie siedziała Zofia i bezustannie wygrywała jakiś ulubiony frazes muzyczny z Bethowena, zła jejmość spokojnie chrapała, siedząc na sofie. W stołowym pokoju, w potokach światła, Wiera nakrywała do kolacyi; samowar szumił, jakby się cieszył z czego, dzwoniły łyżeczki w szklankach, kanarek, który niemiłosiernie trzeszczał przez dzień cały, milknął, i tylko od czasu do czasu

zaszczebiotał, jakby o coś pytając; z przezroczystej lekkiej chmurki padały mimochodem rzadkie kropelki... a ja siedziałem, siedziałem, słuchałem, słuchałem, patrzyłem, patrzyłem, serce moje rozszerzało się i zdawało mi się, że kochał. I oto pod wpływem takiego wieczoru, pewnego razu oświadczyłem się matce o rękę córki i w dwa miesiące później ożeniłem się. Zdawało mi się, że ją kochałem i teraz czasby już o tem wiedzieć, a ja i teraz, dalibóg, nie wiem, czym ją kochał! Była to istota dobra, rozumna, milcząca, z gorącym sercem, lecz Bóg wie dlaczego; czy to może wskutek długiego przemieszkiwania na wsi, czy też jakich innych przyczyn, na dnie jej duszy (jeżeli dusza ma dno) była jakaś utajona rana, której niczem nie można było zagoić; nazwać jej ani ona nie umiała, ani ja nie mogłem. A o istnieniu tej rany dowiedziałem się, ma się rozumieć, już po ślubie. Com się nad nią namęczył, nic nie pomagało! Kiedym był dzieckiem, miałem czyżyka, którego raz kot porwał w swoje łapy; tego czyżyka uratowano, wyleczono, lecz nie wrócił biedak do zdrowia, siedział zawsze nadęty, chudł, przestał śpiewać... Skończyło się na tem, że raz w nocy, do otwartej klatki, dobrał się do niego szczur i odgryzł mu dziób, wskutek czego ptak zdecydował się nareszcie życie zakończyć. Nie wiem, jaki kot miał moją żonę w swoich łapach, lecz i ona tak samo była smutna i schła, jak mój nieszczęśliwy czyżyk. Nieraz widocznie chciała się otrząsnąć, pobawić się na świeżem powietrzu, na słońcu — i zwijała się w kłębek. A wszakże ona mnie kochała, ile razy zapewniała mnie, że nic więcej sobie nie życzy —

niech dyabli wezmą — a oczy jej łzami zachodzą! Myślałem sobie, czy niema czego w jej przeszłości, zebrałem wiadomości, nie było nic. No, a teraz osądź pan sam: człowiek oryginalny wzruszyłby ramionami, westchnąłby ze dwa razy i żyłby sobie po swojemu, ja zaś, istota nieoryginalna, zacząłem przyglądać się belkom. W żonę moją do tego stopnia wgryzły się wszystkie przyzwyczajenia starej panny: Bethowen, spaceru nocne, rezeda, korespondencya z przyjaciółmi, albumy, że do innego trybu życia, zwłaszcza do trybu gospodyni domu, żadną miarą przyzwyczać się nie mogła, a przecież śmiesznie to wygląda, gdy kobieta zamężna mężczy się jakąś bezimienną troską, a wieczorami śpiewa: „O nie budź jej, o nie budź jej!“ —

— Otóż w taki sposób przepędziliśmy szczęśliwie trzy lata; w czwartym roku Zofia umarła przy dziecku i rzecz dziwna, mnie się już przedtem zdawało, że nie będzie ona w stanie obdarzyć mnie córką, lub synem, a ziemi nowym obywatelem. Pamiętam, jakżeśmy ją chowali; było to na wiosnę, nasza cerkiew parafialna niewielka, stara, ikonostas poczerniały, ściany nagie, podłoga ceglana, zniszczona. Wnieśli trumnę, postawili na samym środku, przykryli wypłowiałym całunem, postawili dokoła trzy świece; — zaczęło się nabożeństwo, diaczek szczupły, z małym warkoczykiem z tyłu, nisko podpasany zielonym pasem, smutnie odczytywał modlitwy; proboszcz równie stary, w liliowej kapie, z złotymi ozdobami, śpiewał za siebie i za dyakona. Przez szeroko otwarte okna widać było świeże, młode liście brzoź płaczących, ze dworu wpadał zapach trawy, czerwono-

ny blask świec woskowych blade w wesołym świetle dnia wiosennego, wróble świergotały na całą cerkiew, pod sufitem dawał się słyszeć dźwięczny głos jaskółki, która tam wpadła; w złotym kurzu promieni słonecznych miarowo uchylały i podnosiły się jasne głowy chłopów, gorąco modlących się za nieboszczkę, błękitnym sznureczkiem dobywał się dym z otworu kadzielnicy. Patrzyłem na martwą twarz mojej żony. Boże! nawet śmierć, sama śmierć, nie wyleczyła jej rany; tak samo chorobliwy, nieśmiały, niemy wyraz, zdaje się, że jej nawet w trumnie nieswojo. Zrobiło mi się gorzko na sercu. Dobra była istota, a jednak lepiej zrobiła dla siebie, że umarła.

Policzki opowiadającego zaczerwieniły się, oczy pociemniały.—Otrząsnąwszy się nareszcie—mówił dalej—z przygnębienia, jakie mnie po śmierci żony opadowało, postanowiłem, jak to mówią, wziąć się do czegoś. Wszedłem do urzędowania w mieście gubernialnem, lecz w wielkich komnatach skarbowego domu bolała mnie głowa, oczy nie dopisywały również, dołączyły się też i inne przyczyny... i podałem się do dymisji. Chciałem pojechać do Moskwy, lecz najpierw, nie miałem pieniędzy, a po drugie spokorniałem; przyszło to na mnie i odrazu i nie odrazu. Duchem spokorniałem już dawno, lecz głowa moja jeszcze nie chciała się nagiąć. Przypisywałem nastrój wielu uczuć i myśli wpływowi wiejskiego życia, nieszczęścia... z drugiej strony, zauważyłem już dawno, że prawie wszyscy moi sąsiedzi, młodzi i starzy, którym z początku imponowała moja uczoność, bytność za granicą i inne zalety mego wychowania, nietylko, że przyzwyczaili się do mnie, ale zaczęli

mnie traktować trochę szorstko, trochę z góry i nie dosłuchiwali tego, com mówił. Zapomniałem także powiedzieć panu, że w pierwszym roku po moim ślubie, z nudów, puszczałem się także na literaturę i nawet posłałem artykuł do gazety, jeśli się nie mylę, powieść; lecz po jakimś czasie otrzymałem od redaktora grzeczny list, w którym powiedziano było między innemi, że nie można mi odmówić rozumu, ale też nie można przyznać talentu—i że w literaturze potrzebny jest tylko talent. Prócz tego, doszło do mojej wiadomości, że pewien, jak najlepszy zresztą, młodzieniec z Moskwy, na wieczorze u gubernatora odezwał się o mnie, że jestem człowiek wyczerpany i pusty. Lecz moje, nawpół dobrowolne oślepienie się, trwało jeszcze wciąż. Nie chciałem się ostatecznie pogniebić, aż nareszcie pewnego pięknego poranku otworzyłem oczy. Stało się to tak: przyjechał do mnie sprawnik z powiatu, ażeby zwrócić moją uwagę na rozwalony most w moich posiadłościach, którego rzeczywiście nie miałem za co zreparować. Przy wódce i rybie pobłażliwy ten stróż porządku po ojcowsku wymawiał mi moje niedbalstwo, wszedł jednak w moje położenie i poradził, abym kazał chłopom pozarzucać trudniejsze do przejazdu miejsca nawozem, potem zapalił fajeczkę i zaczął rozmawiać o zbliżających się wyborach. W owym czasie zaszczytne go urzędu marszałka gubernialnego dobijał się niejaki Orbassanow, pusty krzykacz i w dodatku łapownik, przytem nie odznaczał się on ani bogactwem, ani znakomitością rodu. Wypowiedziałem o nim moje zdanie i przyznam się, że patrzyłem na pana Orbassanowa z wysoka. Sprawnik popatrzał na mnie, łaskawie poklepał po ramieniu i dobrodusznie rzekł:

— Ach! Wasili Wasilewiczu, nie ja i nie pan możemy o takich ludziach mówić, ztąd znów? pilnuj szewcze kopyta! — Ależ, zmiłuj się pan — przerwałem ze złością — jakąż jest różnica pomiędzy mną a panem Orbassanowem? Sprawnik wyjął fajkę z ust, wytrzeszczył oczy i wybuchnął homerycznym śmiechem: — Ach! żartownisiu, żartownisiu! — przemówił nareszcie, zaplakany ze śmiechu. Już do samego odjazdu śmiał się ze mnie, trącał mnie od czasu do czasu łokciem i mówił mi: ty. Nareszcie odjechał. Tej tylko kropli brakowało, czara przepełniła się. Przeszedłem kilka razy po pokoju, zatrzymałem się przed lustrem; długo, długo patrzyłem na moją twarz zawstydzoną i powoli, wysunawszy język, po kiwałem głową z gorzkim uśmiechem. Zasłona spadła z moich oczu i zobaczyłam wyraźnie, wyraźniej aniżeli swoją twarz w lustrze, jakim byłem pustym, marnym, niepotrzebnym i nieoryginalnym.

Na chwilę zamilkł.

— W jednej tragedyi Voltaira — ciągnął dalej — jakiś pan cieszy się z tego, że doszedł do ostatniej granicy nieszczęścia. Chociaż w moich losach nie ma nic tragicznego, lecz przyznam się, że doświadczyłem czegoś w tym rodzaju. Poznałem jadowite zachwyty chłodnej rozpacz, doświadczyłem, jak słodko jest przez cały ranek, nie spiesząc się i leżąc w łóżku, przeklinać dzień i godzinę swego urodzenia. Nie mogłem spokojnie od razu i w samej rzeczy, osądz pan: brak pieniędzy przykuwał mnie do znienawidzonej wsi, ani urzędowanie, ani literatura nie przystały do mnie. Od sąsiadów obywateli stroniłem, książki mi zbrzydły, dla wodnistopulchnych

i chorobliwo-uczuciowych panien, wstrząsających lokami i powtarzających gorączkowo wyraz „życie“, nie byłem już zajmującym od czasu, gdy przestałem dużo mówić i zachwycać się; zamknąć się zupełnie w samotności nie umiałem i nie mogłem. — Zacząłem, co pan myśli? zacząłem się włóczyć od sąsiada do sąsiada, jakby pijany pogardzaniem samego siebie, umyślnie poddawałem się wszelkim drobnym poniżeniom. Witano mnie chłodno i dumnie, nareszcie nie zauważano mojej obecności wcale, nie dawano mieszać się do rozmowy ogólnej i ja sam nierzad potakiwałem naumyślnie z kąta jakiemu najgłupszemu gadule, który swego czasu, w Moskwie, z zachwytem byłby całował proch mego obuwia, bżeg mego płaszcza! Samemu sobie nawet nie pozwalałem myśleć, że oddaję się gorzkiej rozkoszy ironii... bo i cóż to za ironia samemu! Tak oto postępowałem przez lat kilka i tak postępuję jeszcze teraz...

— Do czego to u licha podobne! — dał się słyszeć z sąsiedniego pokoju zaspany głos pana Kantagriuchina — cóż to za głupiec rozmawia po nocy?

Sąsiad mój szybko schował się pod kołdrę i, wyglądając z pod niej nieśmiało, pogroził mi palcem.

— Ts, ts... — szeptał, i jakby tłumacząc się i kłaniając w tę stronę, z której głos pana Kantagriuchina wychodził, dodał: — Słucham słucham, przepraszam... Jemu — ciągnął znów szeptem — można spać, on powinien spać, chociażby dlatego, żeby mógł z przyjemnością jutro jeść. My nie mamy prawa go budzić, zresztą, zdaje mi się, powiedziałem już panu wszystko, co chciałem, zapewne i panu chce się spać. Dobra-

noc. Z gorączkową szybkością odwrócił się i ukrył głowę w poduszkach.

— Pozwólże pan przynajmniej dowiedzieć się — spytałem — z kim miałem przyjemność?

Podniósł głowę.

— Nie, na Boga — przerwał — nie pytaj pan o moje nazwisko ani mnie, ani innych. Niech ja zostanę dla pana istotą nieznaną, przyciśniętym przez los Wasilem Wasilewiczem; przytem ja, jako człowiek nieoryginalny, nie zasługuję nawet na osobne nazwisko.. A jeśli pan koniecznie chce dać mi jaką nazwę, ot nazwij mnie „Hamletem powiatu Szczygrowskiego.“ Takich Hamletów w każdym powiecie jest dużo, ale być może, żeś pan innych nie spotykał. Dobranoc.

Znów zawiął się w kołdrę, a na drugi dzień rano, kiedy mnie przyszli budzić, już go nie było.

Odjechał przed świtem.

VIII.

L g o w.

Pojedźmy do Lgowa — rzekł do mnie Jermołaj — nastrzelamy tam mnóstwo kaczek.

Chociaż dla prawdziwego myśliwego dzika kaczka nie jest pojętną, ale w braku innej (było to w początku sierpnia, słonki jeszcze nie przeleciały, a chodzenie na kuropatwy już mi się sprzykrzyło), posłuchałem Jermołaja i udaliśmy się do Lgowa.

Lgów, jest to duża wieś stepowa, ze starożytną cerkwią murowaną o jednej kopule i dwoma młynami na błotnistej rzece Rosocie.

Rzeczka ta, o pięć wiorst za Lgowem, zamienia się w szeroki staw, po brzegach a gdzieniegdzie i na środku zarosły gęstą trzciną.

Na tym to stawie, pomiędzy trzciną, jest mnóstwo kaczek wszelkiego rodzaju: krzyżówek, różenców, cyranek, nurów i t. d. Od czasu do czasu niewielkie stada unosiły się i przelatywały nad wodą, a po strzale zrywały się takie chmury, że myśliwy pomimowoli chwycił się za głowę.

Poszliśmy z Jermołajem wzdłuż stawu, ale na przód, ptaki przy brzegu bywają ostrożne i nie dosiadają, a powtórę, chociaż jaka nieostrożna cyranka

padała od strzału, to jej psy z pomiędzy gęstej trzciny nie mogły wydobyć; pomimo najszlachetniejszych poświęceń, nie mogły one ani płynąć, ani brodzić i tylko napróżno kaleczyły swe szacowne nosy o ostre brzegi trzciny.

— Nie — rzekł Jermołaj, to na nic; trzeba łódki. Chodźmy napowrót do Lgowa.

Poszliśmy. Zaledwie zrobiliśmy kilka kroków, z gęstych krzaków wybiegł do nas dość lichi wyżeł, a za nim ukazał się człowiek średniego wzrostu, w granatowym wytartym surducie, żółtawej kamizelce, pantalonach koloru bleu d'amour, wsuniętych w cholewy dziurawych butów, w czerwonej chustce na szyi i ze strzelbą pojedynką na ramieniu. Gdy psy ze zwykłym, właściwym ich rodowi chińskim ceremoniałem, obwąchiwały nową dla nich osobistość, nieznaną mi zbliżył się do nas i nader grzecznie się uklonił.

Sądząc z powierzchowności, mógł on mieć dwadzieścia pięć lat życia, jego długie blond włosy sterczały w nieruchomych promieniach, niewielkie czarne oczy mrugały uprzejmie, cała twarz, obwiązana czarną chustką, jakby od bólu zębów, uśmiechała się.

— Pozwoli pan, że się przedstawię — rzekł miękkim głosem — jestem myśliwy tujszy, Władimir. Usłyszawszy o pańskim przybyciu i dowiedziawszy się, że raczyłeś pan udać się nad brzegi naszego stawu, postanowiłem, jeżeli to nie będzie panu niemiłym, ofiarować mu swoje usługi.

Myśliwy Władimir mówił, pisz maluj, jak młody aktor prowincjonalny, grywający role pierwszych kochanków.

Zgodziłem się na jego propozycję i nie wszedłszy jeszcze do Lgowa, już poznałem jego historię.

Był to człowiek dworski, puszczonej wolno. W młodości uczył się muzyki, czytywał różne książki, a teraz będąc, jak wielu ludzi w Rosyi, bez gotówki, bez stałego zajęcia, żywił się, jak to mówią, manną niebieską. Wyrażał się w sposób nader wyszukany i widocznie lubił popisywać się swemi manierami. Zdaje się, że musiał to być straszny łobuz i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, miał powodzenie: ruskie dziewczęta lubią wymowę. Powiedział mi nawiasowo, że odwiedza niekiedy sąsiednich obywateli, bywa z wizytami w mieście, grywa w preferransa i ma znajomości ze stołecznymi ludźmi. Uśmiechał się po mistrzowsku i bardzo rozmaicie, szczególnie zaś było mu do twarzy ze skromnym uśmiechem, który igrał na jego ustach, gdy słuchał jak kto inny mówi. Jermołaj, jako człowiek nie bardzo wykształcony, a wcale nie „subtelny“, zaczął go „tykać“... Trzeba było widzieć, z jakim szczególnym uśmiechem Władimir mówił do niego: „wy“...

— Dlaczego jesteś pan podwiązany chustką — zapytałem — czy zęby bołą?

— Nie — odrzekł — jest to raczej zgubny skutek nieostrożności. Odwiedził mnie przyjaciel, dobry człowiek, lecz wcale nie myśliwy... jak to bywa. Otóż pewnego dnia mówi on do mnie: kochany przyjacielu, weź mnie na polowanie; radbym bardzo poznać, na czym polega ta rozrywka. Rozumie się, nie mogłem odmówić koledze; postarałem się o broń dla niego i poszliśmy. Polowaliśmy jak należy, poczem umyśliliśmy odpocząć. Ja usiadłem pod drzewem, on zaś, ze swej strony, zaczął manewrować strzelbą i mierzyc we mnie. Prosiłem go, żeby dał pokój, ten je-

dnak, wskutek swego niedoświadczenia, nie usłuchał. Rozległ się strzał — i zostałem pozbawiony podbródka, oraz wskazującego palca ręki prawej.

Doszliśmy do Lgowa. I Władimir i Jermołaj orzekli, że bez łódki polować nie można.

— Suczok ma krypę — rzekł Władimir — lecz nie wiem, gdzie ją schował. Trzeba pobiegnać do niego.

— Do kogo? — zapytałem.

— A tu mieszka jeden człowiek, przezwisko ma Suczok.

Poszli do niego z Jermołajem. Ja powiedziałem im, że czekać będę koło cerkwi. Oglądając mogiły na cmentarzu, ujrzałem czworoboczną urnę z napisami: z jednej strony literami francuskimi: „Ci gît Théophil Henri vicomte de Blangy“, z drugiej po rusku: „pod tym kamieniem pogrzebano zwłoki poddanego francuskiego hrabiego Blanzia, urodził się w roku 1737, umarł 1799 roku, całego życia jego było 62 lata;“ z trzeciej „pokój jego popiołom“ a z czwartej ośmio-wiersz, opisujący losy emigranta, który w Rosyi znalazł gościnność, uczył dzieci i przeniósł się do lepszego życia.

Przyjście Jermołaja, Władimira i człowieka o dziwnem przezwisku Suczok, przerwało moje rozmyślanie.

Bosy, obdarty i rozcuchrany Suczok miał koło sześćdziesięciu lat.

— Czy masz łódkę? — zapytałem.

— Mam — odrzekł głuchym i rozbitym głosem — ale bardzo zła.

— A co?

— Rozkleiła się, klepki z niej wypadają.

— O! wielka bieda! — zawołał Jermołaj — można pozatykać dziury pakułami.

— Zapewne, że można.
 — A coś ty za jeden? — spytałem.
 — Pański rybak.
 — Jakiż z ciebie rybak, jeżeli masz łódź w takim nieporządku?

— Bo w naszej rzece ryb nie ma.
 — Ryby nie lubią rdzawiny błotnej — zauważył poważnie mój strzelec.

— No — rzekłem do Jermołaja, postaraj się o pałuki i wyporządkuj nam łódkę — tylko prędko!

Jermołaj poszedł.

— Wszakże — rzekłem do Władimira — w takiej łodzi możemy pójść na dno...

— Bóg łaskaw — odrzekł. — W każdym razie można przypuszczać, że staw nie jest głęboki.

— Tak; głęboki on nie jest — wtrącił Suczok, który mówił jakoś dziwnie, jakby rozespany — ale na dnie jest grzechki muł i trawa, cały staw trawą zarosnięty, są i głębie.

— Jednak, jeżeli trawa tak gęsta, to i wiosłować nie będzie można.

— Któż na takiej krypie wiosłuje? Trzeba się odpychać. Ja pojedę z panami. Mam ja taką żerdź, a można i łopatą.

— Łopatą niedobrze — wtrącił Władimir, w niektórych miejscach do dna nie dostanie.

— To prawda.

Usiadłem na mogile, czekając na Jermołaja, Władimira, dla przyzwoitości, odszedł trochę na bok i także usiadł, tylko Suczok stał ciągle na miejscu, zwiesiwszy głowę i założywszy ręce za plecami.

— Powiedz mi — spytałem — jak dawno jesteś tu rybakiem?

— Siódmy rok — odrzekł.

— A czym byłeś wprzód?

— Stangretem.

— Któż cię tak zdegradował?

— Nowa pani.

— Jaka pani?

— Ta, która nas kupiła... Panu zapewne nie wiadomo, Alona Timosiejewna, taka gruba, niemłoda.

— Zkądże przyszło jej do głowy zrobić się rybakiem?

— A Pan Bóg ją wie. Przyjechała do nas z Tambowa, kazała zgromadzić wszystkich dworskich i wyszła do nas. My naprzód do ręki, a ona nic, nie gniewa się, potem kolejno zapytuje, kto czym jest, jakie obowiązki pełni? Przyszła i moja kolej. — Czym byłeś? — Stangretem, mówię. — Stangretem? Spójrzysz na siebie, coś ty za stangret! Będziesz teraz rybakiem i zgolisz brodę. W razie mego przyjazdu będziesz ryby na pański stół dostarczał. Słyszysz? Od tego czasu jestem rybakiem. Zapowiedziała mi też, żebym staw w porządku utrzymywał... a jakżeż go utrzymać w porządku?...

— Do kogożeście wprawdzie należeli?

— Do Siergieja Siergiejewicza Piechtierewa. Dołączyliśmy się do niego w spadku, ale on niedługo nas pościadał, wszystkiego sześć lat. U niego właśnie byłem stangretem, ale nie w mieście — tam miał innych — lecz na wsi.

— A za młodu także byłeś stangretem?

— Ale gdzież tam? Stangretem zostałem przy

Siergieju Siergiejewiczu, wpierw zaś byłem kucharzem i także nie w mieście, tylko tak, na wsi.

— U kogóż byłeś kucharzem?

— U dawnego pana, Afanasja Nefedycza, wujaszka Sergieja Siergiejewicza. Lgow kupił właśnie wujaszek, a siostrzeniec otrzymał go w spadku.

— A od kogo kupił?

— Od Tatiany Wasilewny.

— Cóż to za Tatiana Wasilewna?

— A ta, która umarła w zeszłym roku, pod Bołchowem, czy pod Karaczowem, jako panna. Za mężem nie była. Nie zna pan? Dostaliśmy się jej po ojcu Wasiliu Siemionowiczu... Długo ona nad nami była... dwadzieścia latek...

— Cóż i u niej byłeś także kucharzem?

— Rzeczywiście naprzód byłem kucharzem, a potem zostałem „kofeszenkiem” (kawiarzem).

— Czem?

— Kofeszenkiem.

— Cóż to za służba?

— Nie wiem, proszę pana. Byłem przy bufecie i nie nazywałem się Kuźma, tylko Antoni, gdyż pani tak kazała.

— Więc prawdziwe twoje imię jest Kuźma?

— Kuźma.

— I ciągle byłeś kofeszenkiem?

— Nie; nie ciągle, byłem i aktorem.

— Czy być może?

— A jakże; byłem... na teatrze grałem. Nasza pani teatr u siebie zaprowadziła...

— Jakież ci role dawano?

— Co pan rozkaże?

— Coś ty robił w teatrze?

— Nie wie pan? Wezmą mnie i wystroją i ja chodzę tak wystrojony, albo stoję, albo siedzę, jak wypadnie. Każą: mów to i to, to ja mówię. Raz przedstawiałem ślepego... pod każdą powiekę włożyli mi ziarno grochu. A jakże!

— A potem czem byłeś?

— Znow zostałem kucharzem.

— I za cóż cię znow zdegradowano z kucharstwa?

— Bo mój brat uciekł.

— A czem byłeś u ojca twojej pierwszej pani?

— Różne miałem obowiązki, naprzód byłem kozaczkim, forysiem, ogrodnikiem, dojeżdżaczem.

— I jeździłeś z psami?

— Jeździłem i z psami, alem się rozbił. Z koniem upadłem i konia skaleczyłem. Stary pan był bardzo surowy: kazał mnie oćwiczyć i oddać na naukę do Moskwy, do szewca.

— Jakżeż na naukę? Chyba jako dojeżdżacz dzieckiem nie byłeś.

— O miałem wówczas więcej niż dwadzieścia lat.

— Cóż to za nauka w takim wieku?

— Widać, że można, skoro pan kazał. Ale on, na szczęście, wkrótce potem umarł — a mnie znow wzięli na wieś.

— Kiedyżeś się uczył sztuki kucharskiej?

— Alboż tego kto się uczy? przecież i baby gotują.

— No — rzekłem — Kuźmo, widziałeś ty różne rzeczy w twym życiu! A cóż teraz robisz jako rybak, kiedy nie macie wcale ryb?

— A panie, ja się nie skarżę. Chwała Bogu, że mnie rybakiem zrobili. A oto innego, takiego jak ja starowinę, Andrzeja Pupyra, pani kazala oddać do fabryki papieru, do czerpalni. Grzech, powiada, darmo chleb zjadać! Andrzej liczył jeszcze na zmiłowanie; ma on siostrzeńca, który w kantorze pańskim pracuje jako pisarz. Obiecał powiedzieć pani o stryju, przypomnieć. No i przypomniał! Ja sam widziałem, jak Andrzej siostrzeńcowi temu do nóg się schylał.

— Czy rodzinę masz? Byłeś żonaty?

— Nie, panie, nie byłem. Nieboszcza Tatiana Wasiliewna, niech Bóg jej da królestwo niebieskie, nikomu nie pozwalała się żenić. Uchowaj Boże! Nieraz mówiła: przecież ja jestem panną i żyję, czegoż oni chcą, co znów za zbytki!?

— Z czegoż żyjesz teraz, bierzesz pensję?

— Jaką tam pensję, panie... Jedzenie dają — i z tego jestem, chwała Ci Panie, bardzo kontent. Niech Bóg przedłuży dni naszej pani.

Jermołaj powrócił.

— Łódka naprawiona — rzekł surowo — biegaj po żerdź, ty!

Kuźma pospieszył po żerdź. Przez cały czas rozmowy mojej z biednym starowiną myśliwy Władimir spoglądał na niego z pogardliwym uśmiechem.

— Głupi człowiek — rzekł, gdy ten odszedł — zupełnie niewykształcony, chłop, nic więcej. Dworskim człowiekiem nazwać go nie można, a precz się chwalił! Gdzież jemu aktorem być? Napróżno raczył się pan trudzić rozmową z nim.

W kwadrans później byliśmy już na krypie. Psy zostawiliśmy w izbie pod dozorem stangreta Je-

hudiła. Nie bardzo nam było wygodnie, ale myśliwi nie grymaszą. W tylnym końcu krypy stał Syczok i odpychał się żerdzią, my z Władimirem siedzieliśmy na ławeczce, Jermołaj umieścił się na przodzie. Pomimo pakuł, woda wkrótce pokazała się w statku. Na szczęście, dzień był cichy, a staw jakby śpiący.

Płynęliśmy powoli. Starowina z trudnością wyciągał z grzęzkiego mułu swoją długą żerdź, oplataną zielonemi niemi roślin podwodnych, a gęste, okrągłe liście lilij błotnych również tamowały bieg naszej łodzi. Nareszcie dobraliśmy się do trzciny i zaczęło się używanie! Kaczki zrywały się z szumem, przestraszone naszym niespodzianem pojawieniem się w ich posiadłościach, strzały rozlegały się, a zabite ptaki wywracały kozły w powietrzu i ciężko spadały na wodę. Wszystkich postrzelonych kaczek nie mogliśmy zebrać; lżej ranione dawały nurka, zabite spadały w tak gęstą trzcinę, że nawet rysie oczy Jermołaja nie mogły ich wypatrzyć, w niedługim jednak czasie łódka nasza po brzegi napelniona była zwierzyną.

Władimir, ku wielkiej uciesze Jermołaja, strzelał nieszczególnie i po każdym pudle dziwił się, opatrywał i przedmuchiwał strzelbę, kiwał głową i nareszcie tłumaczył nam, dlaczego mianowicie chybił. Jermołaj strzelał, jak zawsze, zwyczajko — ja, wedle swego zwyczaju, dość lichy. Starowina patrzył na nas oczami człowieka od młodości znajdującego się w służbie pańskiej; od czasu do czasu wołał: jeszcze kaczka, jeszcze kaczka! Pogoda była prześliczna: białe chmury wysoko unosiły się nad nami, odbijając się wyraźnie w wodzie, trzcina szumiła dokoła, staw miejscami błyszczał od słońca, jak stal. Właśnie za-

bieraliśmy się do powrotu, gdy nagle spotkał nas dość nieprzyjemny wypadek.

Dawno już mogliśmy zauważyć, że woda, po trochu, ale ciągle, dostawała się do krypy. Władimir miał polecane wylewać tę wodę dzbanem, który na wszelki wypadek przewidujący Jermolaj ściągnął jakiejś zagapionej babie. Wszystko szło doskonale, dopóki Władimir nie zapominał o swoim obowiązku. Pod koniec polowania, jakby na pożegnanie, kaczkę zrywały się takimi stadami, że ledwie mogliśmy nabijać broń. W zapale strzelania nie zwracaliśmy uwagi na stan naszej krypy; gdy nagle wskutek silnego ruchu Jermolaja (starał się dostać ręką zabita kaczkę i całym ciałem przechylił się na zewnątrz), nasz stary statek nachylił się, nabrał wody i uroczyście poszedł na dno, na szczęście; w miejscu niegłębokiem. Krzyknęliśmy, lecz już było za późno, po chwili staliśmy w wodzie po szyję, otoczeni ciałami zabitych kaczek... Nie mogę teraz bez śmiechu wspomnieć przerażonych i bladych twarzy moich towarzyszków (prawdopodobnie i moja nie odznaczała się wówczas rumieńcem), lecz w owej chwili nie miałem ochoty do śmiechu. Pierwszy naruszył milczenie Jermolaj.

— Tfu! przepadnij! — mruknął, splunawszy. — A ty stary dyable! — zawołał z gniewem — taką to masz łódź!

— Zawiniłem — wyszeptał starowina.

— I tyś także dobry! — ciągnął Jermolaj, zwracając się do Władimira — dlaczego nie pilnowałeś? Cemuś nie wylewał wody? Ty... ty... ty...

Władimir nie protestował — drżał jak liść, dzwonił zębami i uśmiechał się bezmyślnie. W chwili roz-

bicia się naszego okrętu woda wydawała się nadzwyczaj zimną, lecz wkrótce uczucie to przeszło. Gdy minął pierwszy strach, obejrzałem się. Dokoła na dziesięć kroków od nas rosła trzcina, zdaleka nad jej wierzchołkami widać było brzeg. „Żle“ pomyślałem.

— Jakżeż to będzie? spytałem Jermolaja.

— A no zobaczymy, nie będziemy tu przecież nocowali. Na, ty, trzymaj strzelbę — rzekł do Władimira. Usluchał bez oporu.

— Pójdę, poszukam brodu — odezwał się Jermolaj, z taką pewnością jak gdyby w każdym stawie obowiązkowo musiał być bród. Wziął od Kuźmy żerdź i puścił się w kierunku brzegu, ostrożnie macając dno.

— A umież-że ty pływać? — zapytałem.

— Nie, nie umiem.

— No, to utonie — zauważył obojętnie Kuźma.

— I bez żadnego pożytku — żałośnie dodał Władimir.

Jermolaj nie wracał, przeszła godzina, która wydała nam się wiecznością. Z początku wołaliśmy na niego i on nam odpowiadał, później umilkł zupełnie.

Nakoniec, ku nieopisanej naszej radości, ukazał się Jermolaj.

— No, cóż?

— Byłem na brzegu, bród znalazłem — idziemy. Chcieliśmy ruszyć zaraz, lecz on wpierv dostał z kieszeni, pod wodą, sznurek, przywiązał do niego zabite kaczki za łapy, wziął oba końce sznurka w zęby i dopiero poszedł. Władimir za nim, ja za Władimirem, Kuźma zamykał pochód.

Do brzegu było około dwustu kroków. Jermolaj szedł śmiało i nie zatrzymując się (tak doskonale

zauważył drogę), zrzadka tylko wołał: „na lewo bo na prawo głębia“, albo „na prawo, bo na lewo ugrzęźniesz“. W niektórych miejscach woda dochodziła nam do gardła, i dwa razy biedny Kuźma, najniższy wzrostem z nas wszystkich, zachłysnął się...—No, no, no!—krzyczał na niego Jermołaj; starowina ruszał się, machał nogami, skakał i wydobywał się jednak na miejsce płytsze, lecz nawet w ostateczności nie odważył się chwycić poły mego surduta.

Zmęczeniu, zabłoceni, mokrzy dotarliśmy nareszcie do brzegu. We dwie godziny później, o ile można osuszeni, siedzieliśmy w wielkiej szopie i zabierali się do kolacyi. Stangret mój, człowiek ogromnie powolny, ciężki i zaspany, stał przy wrotach i częstował Kuźmę tabaką. Ten zażywał namiętnie, aż do mdłości, pluł, kaszlał i widocznie doznawał wielkiej przyjemności. Władimir wydawał się zmęczonym, pochylał głowę na bok i mówił bardzo mało. Jermołaj obcierał broń. Psy kręciły ogonami w oczekiwaniu jadła, konie kopaly i rżały pod daszkiem.

Słońce zachodziło; szerokimi krwawymi pasami rozbiegały się ostatnie jego promienie, złote chmurki rozścielały się po niebie coraz drobniej i drobniej, niby wymyta, uczesana fala. We wsi rozlegały się dźwięki pieśni...

K O N I E C.

00829

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

139

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie

Z przesyłką pocztową

Rocznie . (52 tomy) rs. 10
Półrocznie (26 tomów) „ 5
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart

Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop.

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzi dzieła następujących kategorii:

1. **Arcydzieła literatury powszechnej;**
2. **Dzieła beletrystyczne** (powieści, poezyc, podróże, najbardziej cenionych autorów naszych i zagranicznych).
3. **Dzieła historyczne,** szczególnie i opowiadania, dotyczące naszej
4. **Dzieła popularno-naukowe** stkich dziedzin wiedzy współczesn

WYDAWCA

Saturnin Sikorski.

ZA REDAKCJĄ

Klemens Szulc

Drak. Artyst. Saturnina Sikorskiego, Nowy-Swiat 47.

Допущено Цензурою. Варшава, 6 Ноября 1897 г.

A. SUCHANSKI

W RAJECIE